

DZIS: JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok II

Warszawa, 14 lipca 1946 r.

Nr. 27 (33)

Stanisław Jasiński

PODSTAWA SIŁY

Ośmdziesięciomilionowy w sumie blok niemiecki w centrum Europy stanowi groźne niebezpieczeństwo dla narodów i państw, które mają z nim jakieś porachunki; na zachód — dla Francji, na wschód — dla Polski.

O ile Francja, państwo stare, znakomicie zagospodarowane, bogate, pożądane jako pierwszorzędną siłą sprzymierzeńca, od północy, zachodu i w znacznej części od południa, oblana wodą, ma w stosunku do ewentualnej agresywności niemieckiej poważne i liczne atuty zabezpieczające — o tyle położenie nasze jest w wysokim stopniu niekorzystne.

Tragizm nasz przed stukudziesięciu laty polegał na tem, że będąc liczebnie narodem niewielkim, sąsiadowaliśmy od zachodu i od wschodu z formacjami narodowo - państwowymi kilkakrotnie większymi.

Perspektywy kroiliłyby się niebardzo wesołe, gdyby stosunek powyższy miał być specyfikowany, stały, niezmienny, wiekuisty.

Na szczęście tak nie jest.

Na szczęście stosunek ilościowy różnych narodów do siebie jest czemś nieprawdopodobnie zmiennym i płynnym.

Ze liczebność narodów musiała ulegać wahanom w ciągu wieków, o tym zdaje się świadczyć trudna inaczej do zrozumienia rola historyczna narodów, dziś niejednokrotnie zupełnie drobnych, a które niegdyś stanowiły pierwszorzędną potęgę.

Już średniowiecze nasze nasuwa nam przykład ludu, który ulec musiał potężnym fluktuacjom od ogromnych mas niegdyś, aż do strzępów nieomal, jakie pozostały po nim dziś. Są to tak dobrze i od tak dawna znani nam Tatarzy.

Wówczas, gdy pod wodzą Batuchana, jak potop zalewali całą nizinę sarmacką, gdy trapiłi dawną Rzeczpospolitą periodycznymi najazdami z Wazów, musieli Tatarzy także liczebnie przewyższać narody wschodnio - europejskie.

W szczególności musiało to być potężne i wielkie plemię w stosunku do Wielkorusów, skoro mogło ich podbić i przez wieki trzymać w niewoli.

Dziś liczba Wielkorusów dochodzi szybko do stu milionów, gdy wszystkich Tatarów, nad Wołgą, na Krymie itd. nie ma nad dziesięć milionów.

Jeszcze plastyczniejszy jest przykład Litwinów.

Trudno uwierzyć, że ten lilipuci narodek, którego liczba nie przenosi dziś dwóch milionów dusz, był kiedyś potęgą militarną, która mogła trzymać w zależności od siebie Ruś, aż do Kijowa i zagrażać przez długi czas Moskwie.

Fakt, że narody w swym rozwoju liczebnym ulegają znacznym wahanom, dostarcza nam nader ciekawego komentarza do objaśnienia wzajemnego stosunku do siebie Niemiec i Francji w czasach najnowszych.

W ciągu XIX wieku dwa razy państwa te zmierzyły się ze sobą w rozstrzygającym boju: w roku 1806 i 1870.

Pod Jeną zmiażdżoną została potęga pruska, pod Sedanem francuska.

Ale też abstrahując od mnóstwa innych czynników, zgola inaczej wyglądał stosunek ilościowy jednego, a drugiego z tych państw w roku 1806, a 1870. Stosunek ten w całej pełni zrozumiemy i ocenimy, gdy za punkt wyjścia do rozważań weźmiemy stan rzeczy w naszych czasach.

Wiadomo, że Francja jest fenomenalnym krajem, w którym statystyka od szeregu lat wykazała przybytek ludności tak nikły, że prawie żaden, w ostatnim zaś roku przed pierwszą wojną światową, po raz pierwszy wykazała ludności tej ubytek, do którego rozwój stosunków parł nieuchronnie i coraz groźniej. Oslawiony „system“ dwojga dzieci w małżeństwie i wogóle upadek życia rodzinnego, pochodzące z ogólnego obniżenia się moralności, pociągnęły za sobą stały i rosący wciąż ubytek ludności, który w naszych oczach przybierał począł charakter katastrofalny.

Proces wprost przeciwny odbywał się równoległe w Niemczech, gdzie do czasu przed pierwszą wojną światową rokrocznie przybytek ludności na zasadzie nadwyżki urodzin nad śmiertelnością i emigracją wyrażał się potężną cyfrą 800.000.

W rezultacie tych obu przeciwnych sobie procesów Francja przedwojenna, kurcząc się coraz bardziej w swej sile liczebnej, liczyła mieszkańców 39 milionów, a Niemcy 67 milionów, z czego prawie okrągłe 60.000.000 Niemców. Stosunek już mocno zbliżony do tego stanu rzeczy istniał około roku 1870, roku klęski francuskiej. Przyrost ludności Francji był z roku na rok coraz słabszy, podczas gdy

Niemców co rok przybywało krocie tysięcy.

A zgola inaczej wyglądała sprawa w okresie Jeny.

W kolosalnych przedsięwzięciach wojennych Napoleona I-go trzon armii francuskiej stanowił Francuzi.

Francja była przez szereg lat niewyczerpanym rezerwuarem ludzkim.

Gdy w roku 1812 wielka armia ginie na śnieżnych obszarach Rosji, Napoleon I, daleki od zwątpienia, śpieszy niemal spokojnie do Paryża, aby wyczarować nowe zastępy zbrojne i pod Lipskiem zjawia się znowu na czele armii krociowej. Objasnia nam tę prężność napoleońskiej potęgi fakt, iż Francja w owym czasie jest krajem ogromnie ludnym, ludniejszym w szczególności od ówczesnych Niemiec, które z czasem mają tę samą Francję swymi zasobami ludności, wymi tak straszliwie zdystansować. Francja Napoleońska stoi z Niemcami nie tylko al pari, lecz trochę je przewyższa. Jej ludność wynosi 26 milionów, gdy niemiecka o milion mniej — 25 milionów. Z tych 25 milionów Niemcy w ciągu dwóch generacji skoczyły na 60, Francja z 26 posunęła się ślimaczko na 30 i kilka.

We Francji ten leniwy przybytek ludności, który się wręcz przeistoczył

w ubytek, zrozumiano i odczuto, jako katastrofę narodową.

Wojna światowa, która osierociła miliony kobiet, pogłębiła jeszcze bardziej to odczucie i zrozumienie. Światłe umysły w literaturze i publicystyce uderzyły na alarm. Unikanie liczniejszego potomstwa celem dłuższego zachowania młodości, uwygodnienia, a zarazem dłuższego używania życia, zakwalifikowano, jako zbrodnię, a przynajmniej przestępstwo narodowe. Podjęto usilną propagandę przeciwko ilościowej szczupłości rodziny francuskiej oraz przeciw wszystkiemu, co degeneruje rasę i czyni ją niezdolną do normalnego rozródzenia się. Akcji tej przyszedł potężnie w pomoc znany zwrot francuski ku religijności i dziś można powiedzieć, że niebezpieczeństwo dalszego topnienia rasy francuskiej znacznie się zmniejszyło.

Te same prawa socjologiczne, które w tak fatalny sposób odbij się na życiu Francji, nie są także nieczynne po stronie niemieckiej.

A ostatnio, już od szeregu miesięcy, cała prasa niemiecka w różnych formach bije na alarm populacyjny, O cóż im chodzi? O rzecz bardzo prosta: aby matki germańskie rodziły więcej dzieci, bo Niemcom zagraża wprost katastrofalny ubytek ludności...

Już na parę lat przed pierwszą wojną światową znana badaczka ruchu ludności dr. Zofia Daszyńska-Golińska zwróciła uwagę, że także niemiecki przybytek ulega systematycznej, stałej, acz powolnej redukcji. Zauważono, że proces owej redukcji zostaje w związku przyczynowym z rozwojem skupień wielkomiejskich, a w szczególności ognisk wielko przemysłowych.

Kwitające centra wielkomiejskie, dające możliwość łatwego i obfitego zarobku, oraz sposobność do różnorodnych uciech życiowych, nie sprzyjają życiu rodzinnemu i, co za tym idzie, pomnażaniu się rodzin, a więc przybytkowi ludności, która narasta nietyle dzięki naturalnemu przybytkowi, ile przez imigrację, czyli kosztem wsi.

Niemcy weszły w okres szalonego rozwoju po roku 1870, zasillone francuskim złotem kontrybucyjnym. Od wtedy to zaczęła się gwałtowna emigracja ludności ze wsi do miast, rozkwit przemysłu i przeistaczanie się samego, dawnego typu „Stadt“ w nowoczesne „Grosstadt“, które dla życia rodziny i dla naturalnego przyrostu ludności stanowi podścielisko zgola niekorzystne.

Dr. Golińska podaje w swoich studiach szczegółowe tablice, wykazujące, jak przyrost ludności niemieckiej ulega ciągłemu zmniejszeniu się i jak w procesie tym wielkie miasta grają główną rolę. Już w latach przedwojennych zwrócono na to zjawisko uwagę w Niemczech i usiłował no przeciwdziałać mu zapomocą specjalnej propagandy. Agitacja jednak na ogół nie przyjmowała się szczególnie.

Niedaleka przyszłość pokaże, jaki obrót weźmie w dalszym ciągu kwestia ruchu ludności w Niemczech, potędze tradycyjnemu i z natury swej wrogiemu Polsce, jak i we Francji, naturalnej i również tradycyjnej naszej sojusznicy.

Dla Polski kryje się w zagadnieniu tym pierwszorzędnym doniosły problem bytu.

Od tego, czy szczep francuski okaże się w dalszym rozwoju wypadków usychającą rośliną, czy kwitnącym i rodzącym drzewem życia, zależy, czy Francja sprosta swemu historycznemu zadaniu straży nad Renem, straży, czuwającej nad bez-

Na marginesie

VARSOVIE MACABRE

WYDAWANY przez Zarząd Miejski „Miesięcznik Statystyczny“ przynosi — niestety z wielkim opóźnieniem — ciekawe dane z życia stolicy. Widzimy jak powoli liczba małżeństw wraca do normy po ogromnym nasileniu, jakie wykazały ostatnie miesiące przed... wprowadzeniem ślubów cywilnych, Mieśliśmy w listopadzie 457 ślubów, w grudniu — 1251, w styczniu — 111, w lutym — 206, w marcu — 226. (Twórcom nowego prawa małżeńskiego poleca się pójść na sowiecki film p. t. „Powrót“ grany właśnie w Warszawie a obrazujący amoralny skutek rozwodów). Dalej widzimy jak Warszawa wymiera. Liczba urodzeń w styczniu, lutym i marcu wyniosła: 88, 164, 392, podczas gdy liczba zgonów w tym samym czasie: 504, 489, 590. Wśród chorób śmiertelnych na pierwszym miejscu trzeba wymienić chorobę serca (25 proc. zgonów) i gruźlicę (17 proc.).

LIGA NARODÓW SIEDZIBĄ ONZ

TRYGVE Lie sekretarz Organizacji Narodów Zjednoczonych oświadczył, że ONZ przejmie dawną siedzibę Ligi Narodów w Genewie od 1 sierpnia b. r. i że eRada UNRRA zbierze się tam następnego już dnia na obrady. Oby tylko wraz z siedzibą ONZ nie przejął tradycji Ligi!

W PALESTYNE CORAZ GORZEJ

WALKI przybrały na sile, a o ich natężeniu świadczą wielkie tytuły przy przedstawianiu się wymówił z poangielskich gazet, opisujących na pierwszej stronicy przebieg wypadków. W Izbie Gmin zabrał głos w tej sprawie premier Attlee, mówiąc, że „wprawdzie fał-

szywym jest twierdzenie, iż Wielka Brytania wypowiedziała wojnę Żydom“, to jednak niedopuszczalną jest rzeczą istnienie w Palestynie pod płaszczykiem Agencji Żydowskiej nielegalnej armii. Oświadczenie premiera nie zostało przyjęte życzliwie przez cały Labour Party. Niektórzy jej posłowie uważają iż walki z Haganah przynoszą więcej szkód prestiżowi angielskiemu na Środkowym Wschodzie niż pożytku i twierdzą, że otrzymują więcej protestów listownych z kraju w sprawie konfliktu palestyńskiego niż z powodu.. wprowadzenia na nowo kartek na chleb. Żydzi w Polsce i w Czechach przystąpili do akcji protestującej przeciwko rozbrajaniu Haganahu.

KRYZYS AMERYKAŃSKI

ZNIESIENIE kontroli cen w Ameryce stworzyło na rynku żywnościowym niebywały chaos. Ceny na mięso i zboża wzrosły bardzo gwałtownie. Stan ten jeżeli nie zostanie szybko zahamowany może spowodować inflację, a w każdym razie spowoduje na pewno podniesienie się cen na artykuły dostarczane głodującej Europie. Nowina wcale nie wesoła.

W CHINACH

CZANG KAI SZEK oświadczył, że gotów jest pertraktować z komunistami i nie zaatakować wojsk komunistycznych tak dłużej, póki trwać będą rozmowy. Ostrzegł jednak, że jeśli zostanie zaatakowany, podejmie natychmiast działania wojenne.

OSMANCZYKA „Sprawy Polaków“

RZECZ, na którą koniecznie trzeba zwrócić uwagę to artykuł E. Osmańczyka w 63 i 64 numerze „Przekroju“. Ujęcia śląskiego pisarza są nowe, kapitalne i wstrząsające.

pieczeństwem zarówno własnym, jak i Europy.

Daleko więcej jeszcze zależy od tego, w jaki sposób ułoży się proporcja żywotności i zdolności rozwojowej rasy naszej do rasy niemieckiej, czy niebezpieczny stosunek cyfrowy przesunie się i w jakim kierunku?

Nie przesądzając faktów przyszłości, wolno stwierdzić, że horoskopy układają się dla nas jak najpomyślniej.

Siła rozrodcza Niemiec ulega osłabieniu.

Już nie pomnaża się ludność ich, jak niedawno, o przeszło milion głów rocznie, już nawet ustalona od dłuższego czasu cyfra przyrostu rocznego 800.000 zachwiała się in minus.

Im dalej, tym przybytek Niemców obiecuje być coraz mniejszy.

Naodwrot zaś siła rozrodcza Polaków z wyjątkiem okresu wojny stała się jedną z najznaczniejszych w Europie, stanowiącą zaś przewyższa siłę niemiecką.

Jej to, tej nieświadomie działającej „ślepej“, lecz z największych pokładów zdrowia rasy pochodzącej sile, zawdzięczamy plemię polskie, że zdołało znihilować tyle piekielnych na siebie zamachów przemysłowego wroga, poczynając od pamiętnego wypędzenia przez Bismarcka 40.000 Polaków z zaboru pruskiego, a kończąc na ustawach wyjątkowych, mających na celu zmniejszenie ludności polskiej i na zbrodniach wojennych, które tak fatalnie odbiły się na naszym ruchu ludnościowym.

Wszystkie „koncepty“ „prawodawców“ hakatystycznych rozbiły się o ten prosty, przyrodniczy fakt, że matki polskie rodziły więcej dzieci, niż matki niemieckie.

Prof. Buzek w swej znakomitej książce o stu latach prześladowania żywiołu polskiego w Prusach, przytacza tablice porównawcze siły rozrodczej Polek, a Niemek w Poznańskim. Wynika z nich, że matek, mających pewną większą ilość dzieci, np. pięcioro, sześcioro, ośmioro lub dziesięcioro, wykazuje statystyka po stronie polskiej daleko więcej, niż po niemieckiej, o ile zaś chodzi o rekord, o liczbę maksymalną, to ta jest przy Polkach.

Mnożnością tą wyrównywali Polacy w swej walce z Niemcami mnóstwo luk, wywołanych przez przeciwnika.

Polityczną stronę zjawiska dostrzegł był w swoim czasie kanclerz Bülow i ujął ją słynnym powiedzeniem: „o polskich królikach“, w powiedzeniu podszytym bezsilną złością i zawiescią.

Niemcy więc weszli na pewien dłuższy okres dziejowy w stan liczebny cofania się, Polacy w stan wzrostu.

Na tej drodze dokonać się może przemiana wprost niewymiernej wagi.

W razie dłuższego działania przyczyn, wywołujących osłabienie przyrostu ludności, tak, jak działo się Francji, Niemcy z nadmiernie rozrodzonego plemienia mogą zmienić się w naród drugiego rzędu. Polacy, stojąc dziś na czele narodów „małych“, mogą przesunąć się do kategorii narodów pod względem liczebnym — większych.

Zmiana taka postawiłaby nas w sytuacji z gruntu odmiennej, niż dzisiejsza, skoro przestalibyśmy być narodem drobnym.

W najżywniejszym interesie narodu polskiego leży wyzyskanie, względnie niezamarnowanie tej korzystnej dla niego koniunktury.

Sprawą o wiele donioślejszą od wszystkich razem wziętych ambicji i aspiracji naszego życia politycznego jest utrzymanie rasy polskiej na poziomie, gwarantującym, względnie otwierającym widoki wzniesienia się jej do rzędu liczebniejszych skupień narodowych.

Atmosfera wielkiego miasta jest wylegarnią zepsucia, pod której wpływem osłabia się spoiwość i zwartość rodziny, a następnie jej zdolność do odegrania roli w łańcuchu rozwojowym, zabezpieczającym normalny wzrost ludności.

Tak było we Francji, gdzie od miast zaczął się proces zmniejszania się przyrostu zaludnienia. Tak było, względnie jest i w Niemczech.

W Niemczech zaznaczyło się w ostatnich latach niesłychane zepsucie obyczajów wśród młodzieży męskiej i żeńskiej, szczególnie ze sfer burżuazji.

Duma Niemiec, ich tak liczne centra wielkomiejskie, z którymi równać się tyl-

ko mogą Włochy, stały się zbiornikami, z truwającymi organizm narodu.

Miasta, jak Berlin, Hamburg i inne, zamieniły się w olbrzymie centra zepsucia.

Życie niemieckie, kipiące dokoła centrów niemieckich i promieniujące dokoła nich, zamieniło się w ryzstok, w którym bez śladu giną stare cnoty germańskie, te, którym Niemcy zawdzięczały dotychczas swój tak groźny dla sąsiadów milionowy przybytek ludności.

A jak wykazała obserwacja ostatnich miesięcy, procesowi ubytku ludności z jednej strony, a rozwiązłości z drugiej — nie stworzyły hamulca nawet płomienne mowy i surowe nakazy Hitlera.

Na szczęście, na wielkie szczęście, jest

Władysław Żegocki

Gen. Franco przed sądem O. N. Z.

Hiszpania pod rządami generała Francieszącą się całkowitą swobodą dalszego co jest dziś faktycznie jedyną pozostałością polityki osi Hitler — Mussolini, rozwoju. Sprytna polityka w okresie wojennym oraz szczęśliwe położenie geograficzne umożliwiły temu reżimowi prześlizgnięcie się przez wszystkie niebezpieczeństwa zewnętrznych interwencji, których nieuchronnym skutkiem byłaby katastrofa reżimu.

W okresie hiszpańskiej wojny domowej opinia publiczna w Polsce śledziła z największym napięciem, choć z różnym nastawieniem, wiadomości dochodzące z pola bitwy. Wszyscy, którzy widzieli w komunizmie — wroga numer jeden — identyfikowali interes Hiszpanii ze sprawą generała Franco, wszyscy, których przekonania ideowe wiązały z rządem republikańskim — widzieli w buncie wojskowym — wstęp do światowej ofensywy faszystów i hitlerystów.

Nie wszędzie podział opinii publicznej w stosunku do hiszpańskiej wojny domowej był tak prosty, jaw Polsce. We Francji naprzykład część opinii publicznej, reprezentowanej przez katolicki „Esprit“, zajęła niedwuznacznie wrogie stanowisko wobec akcji generała Franco, w samej zaś Hiszpanii, o ile większość katolicka reprezentowała antyrządowy Gil Róbles, o tyle i po stronie republikańskiej znalazły się formacje katolickie, reprezentowane przez Jose Bergamos. Były one jednak w wyraźnej mniejszości i przytoczone anty-katolicką marksistowską i anarchistyczną większością.

W miarę tego jednak, jak wojna domowa w Hiszpanii przybierała charakter wstępnej rozgrywki międzynarodowych sił komunistycznych z jednej, faszystowskich z drugiej — konflikt ideologii zamieniał się w konflikt polityczny, a zwycięski reżim gen. Franco przestępował się szybko w ekspozyturę polityczną hitlerowskich Niemiec.

Jest więc bezwątpienia rzeczą dziwną, swoiście cechującą dzisiejszy układ polityczny, że po zwycięskim zakończeniu wojny Sprzymierzeni nie podjęli natychmiast kroków, zdążających do zlikwidowania rządów jawnego satelity Hitlera i Mussoliniego. Można to wytłumaczyć tylko zmęczeniem zwycięzców, oraz faktem, iż ciężar rozgrywek politycznych między wielkimi mocarstwami odsunął się znacznie od półwyspu pirenejskiego.

W kwietniu bieżącego roku Polska reprezentowana przez ambasadora O. Langego, wniosła na porządek dzienny Rady Bezpieczeństwa Narodów Zjednoczonych sprawę reżimu gen. Franco. W oparciu o fakt, iż Zgromadzenie Ogólne jednogłośnie odrzuciła ewentualność zaproszenia Hiszpanii ze swym obecnym rządem do organizacji Narodów Zjednoczonych, oraz o dane wskazujące na niebezpieczeństwo powstania poważnych fermentów w polityce międzynarodowej, wywołanych działalnością gen. Franco — przedstawiciel Polski wnosił o uznanie reżimu jako szkodliwego dla sprawy pokoju i żądał zalecenia przez Radę Bezpieczeństwa wszczęcia przez Narody Zjednoczone kroków, mających przyspieszyć powrót w Hiszpanii.

POLSKA, „pół Azja“ o setki mil od super „Europy“ berlińskiego typu.

Ponieważ jednak człowiekiem rządzi wszelkie mniej więcej te same prawa socjologiczne, było by wskazane, aby myślarca część społeczeństwa już od dziś sposobem zapobiegawczym starała się utrwalić to, co sprzyja u nas krzewieniu się zwartości i zdrowia rodziny, a nihilować to, co powoduje jej rozprężenie i upadek.

Olbrzymią, niewymierną zasługą Polek, zasługą wprost dziejowego znaczenia, jest utrzymanie w czystości gniazda rodzinnego. Stąd bowiem w znacznej mierze wypływała ta siła moralna, która pozwalała narodowi naszemu wytrwać w obronie

i przetrwać straszną niewolę, jakiej przykłada nie znają dzieje.

Dlatego z największym naciskiem należy zaznaczyć, że najdzielniejszym czynnikiem, chroniącym moralno-fizyczną czerstwość rodziny i jak najwyższą jej wartość społeczną, jest czynnik religijny, który tak cudownie umiała wcielić w życie kobieta polska.

Interes narodowy i religijny schodzą się tu przedziwnie.

Wychowanie religijne przez dom i szkołę, to pomyślna przyszłość naszego kraju i narodu.

Stanisław Jasiński

Od chwili złożenia tego wniosku minęło już blisko trzy miesiące i sprawa hiszpańska nie wiele posunęła się naprzód i obserwatorzy polityki międzynarodowej nie rokują wiele nadziei na jej szybkie rozstrzygnięcie.

Istnieją bowiem trzy rozbieżne stanowiska, zajęte przez państwa, reprezentowane w organizacji Narodów Zjednoczonych. Jakkolwiek wszyscy zgadzają się na to, iż reżim gen. Franco jest wartością negatywną, tak przez wzgląd na swą przeszłość, jak przez fakt, iż stał się dziś jedyną ostoją dla wielu uciekinierów z Niemiec i Włoch, jak i wreszcie dla tego, iż nie ulega najmniejszej wątpliwości, że utrzymuje się siłą wbrew woli większości ludności — to jednak poważne rozbieżności izachodzą przy rozważaniu charakteru akcji przeciw gen. Franco, oraz kompetencji Narodów Zjednoczonych do ingerowania w wewnętrzne sprawy hiszpańskie.

Stanowisko najbardziej skrajne zajmuje ZSRR, żądająca najbardziej kategorycznej akcji, mającej na celu najszybsze wywrócenie obecnego reżimu. Należy bowiem pamiętać, iż ZSRR jest nie tylko najbardziej zaangażowany ideowo w konflikt z Hiszpanią faszystowską poprzez swą aktywną pomoc, udzieloną rządowi republikańskiemu w czasie wojny domowej, lecz posiada w zanadrzu poważny rachunek do uregulowania przez gen. Franco za udział jego wojsk po stronie niemieckiej w czasie hitlerowskiej wypraw w Rosję. ZSRR żąda więc nie tylko zerwania stosunków dyplomatycznych, lecz również zastosowania sankcji gospodarczych, nie cofając się nawet przed ewentualnością zbrojnego poparcia emigracji hiszpańskiej na wypadek, gdyby wybuchło anty-rządowe powstanie.

Stanowisko bardziej umiarkowane, choć nie mniej zdecydowane, reprezentuje Francja, która zresztą pierwsza jeszcze w marcu b. r. wysunęła przez swego ministra spraw zagranicznych Bidault (M. R. P.) inicjatywę akcji anty-frankowskiej. Żąda ona bowiem zerwania stosunków z reżimem, poparcia materialnego i moralnego emigracyjnego rządu Girala, wyklucza jednak ewentualność zbrojnej interwencji, jak i jest zasadniczo przeciwna popieraniu jakiegokolwiek rewolty wewnątrz Hiszpanii.

Wreszcie rząd angielski reprezentuje, zastrzegając ideową wrogość Labour Party wobec Franco, zgoła odmienne stanowisko, gdyż jest w zasadzie przeciwny wszelkiej formalnej ingerencji w sprawy hiszpańskie. Racje, które wysuwa, są może pozbawione momentów ideowych, lecz zato jak zawsze u Anglików, bardzo praktyczne. Stwierdza on z jednej strony, że zerwanie stosunków handlowych spowodowałoby poważną lukę w handlu brytyjskim, importującym wiele z Hiszpanii, od rud poczynając, na pomarańczach(!) kończąc, z drugiej strony, że jedyną szansą szybkiego pozbycia się reżimu Franco byłaby ingerencja zbrojna, co kosztowałoby wiele ofiar, przede wszystkim wśród samych Hiszpanów. Prasa angielska do daje do tego sceptycznie, że dotychczasowe doświadczenia historyczne wskazują, iż napiętnowanie i odosobnienie jakiegoś reżimu wzmocnia go raczej, gdyż budzi

megalomanię narodu, wreszcie, że zerwanie stosunków dyplomatycznych dałoby gen. Franco całkowitą wolną rękę w jego policyjnej polityce, hamowanej dotychczas względami właśnie dyplomatycznymi.

Jak widać, stanowiska różnią się znacznie. Wspólne teoretyczne potępienie dzisiejszego reżimu hiszpańskiego osłabia też fakt, iż istnieją dość rozbieżne tendencje co do charakteru, jaki miałyby przybrać następny rząd hiszpański. Wydaje się, że Anglia, przeciwnie niż ZSRR, pragnęłaby rządu dość umiarkowanego, mającego poparcie sfer wojskowych hiszpańskich, podczas gdy np. Francja faworyzuje wyraźnie socjalistów hiszpańskich, choć są oni w dalszym ciągu w konflikcie z hiszpańską partią komunistyczną.

Wniosek polski przyjęty został przez Radę Bezpieczeństwa z szeregiem zastrzeżeń. Bodajże najważniejszym była wątpliwość, czy istotnie Rada Bezpieczeństwa ma prawo wglądu w wewnętrzne stosunki hiszpańskie. Po ogólnych debatach, w których zarysowane zostały stanowiska poszczególnych mocarstw wobec problemu hiszpańskiego, przekazano ostatecznie sprawę specjalnej podkomisji, złożonej z przedstawicieli Australii, Brazylii, Chin, Francji i Polski. Podkomisja miała zbadać treść zarzutów, stawianych obecnemu rządowi Hiszpanii, podczas gdy rzeczoznawcy mieli stwierdzić, czy wniosek Polski zgodny jest z treścią Karty Narodów Zjednoczonych.

Sprawozdanie podkomisji, złożone na początku czerwca, stwierdza, iż: „działalność reżimu gen. Franco, mimo że nie stanowi bezpośredniej groźby dla pokoju, stwarza jednak sytuację, która jest potencjalnym zagrożeniem pokoju międzynarodowego“. Mimo to podkomisja stwierdziła, przeciw czemu zaprotestował amb. Lange, iż nie widzi podstaw dla zalecenia czy to użycia siły, czy też zerwania stosunków dyplomatycznych przez poszczególne państwa O. N. Z.

W tych ostrożnych formułkach kryje się oczywiście chęć odwleczenia decyzji, a może i zagubienia całej sprawy wśród obrad Zgromadzenia Ogólnego Narodów Zjednoczonych, na które sprawa została przekazana.

Sprawa utonęła w zawikłaniach proceduralnych. Od chwili, gdy na jednym z posiedzeń Rady Bezpieczeństwa zasady procedury referował przedstawiciel Chin — dr. Li — zostały one słusznie nazwane „chińszczyzną“. Istotnie od czasów, gdy władcy Chin ustalali swój bardzo skomplikowany protokół, nie było chyba tak zawitych form postępowania, jak te, którymi postępuje się Rada Bezpieczeństwa. Jest jednak w tych zawikłaniach pewna myśl — kryją one mianowicie niepewności, nurtujące poszczególnych członków zgromadzenia co do istoty kompetencji i możliwości wykonawczych tej jeszcze bardzo młodej instytucji.

Sprawa hiszpańska jest właśnie charakterystycznym dowodem, jak jeszcze niesprecyzowane są właściwe zadania organizacji Narodów Zjednoczonych.

Jakie stanowisko winniśmy zająć wobec hiszpańskiego problemu? Wydaje się nam, że zainteresowanie Polsce tą sprawą jest dotychczas zbyt powierzchowne.

wne i formalne, mimo, że właśnie od nas wyszła inicjatywa. Trudno jest z odległości oceniać, jaka metoda interwencji jest słuszna, jakkolwiek wydaje się nam oczywiste, że trzeba za wszelką cenę uniknąć rozlewu krwi. Wydaje się jednak, że wokół sprawy hiszpańskiej waży się problem o wiele donioślejszy niż proceduralny, czy formalno-prawny. Waży się bowiem sprawa najistotniejszej kompetencji Narodów Zjednoczonych — prawa obrony ludów uciśnionych. Jakkolwiek prawnicy stwierdzają, iż podmiotem prawa Narodów Zjednoczonych są tylko państwa, a nie społeczeństwa, jakkolwiek politycy stwierdzają niebezpieczeństwa

nadmiernego rozszerzenia kompetencji tej instytucji — to musimy stwierdzić, iż w naszym mniemaniu nie będzie pokoju na świecie, nie będzie sprawiedliwości i postępu, jeśli pod przykrywką suwerenności państwowej kryć się będzie mógł ucisk i dyktatura. Wydaje się, że większość narodów cywilizowanych dorosła już do tego poziomu, by można było bez obawy powierzyć w ręce ich reprezentantów obronę prawa narodów, a nie tylko rządów. Jestemy, rzecz oczywista, rzecznikami obrony prawa suwerenności narodów. Jeśli jednak ma istnieć rzeczywista organizacja narodów, to musi się ona o-

przeć na wyrzeczeniu się na jej korzyść z niektórych praw suwerennych, przede wszystkim tych, które stać się mogą przyczyną konfliktów.

Dlatego jesteśmy zdania, że sprawa hiszpańska słusznie znalazła się na porządku dziennym Rady Bezpieczeństwa Narodów Zjednoczonych i życzymy, by, bez względu na to, jakie zapadną decyzje praktyczne — sprawa ta stała się prece-densem udawadniającym prawo Narodów Zjednoczonych do interweniowania przeciw wszelkim reżimom, depczącym wolność ludów.

Władysław Zegocki

To właśnie ostatnie pytanie na długie stulecia w cień zapomnienia odsunęło znakomitą myśl Demokryta. Sokrates, Plato, Arystoteles ponad pytanie „skąd“ i „dlaczego“ stawiają pytanie „dokąd“ i „poco“, ponad badanie przyczyn stawiają szukanie celu.

Wychodząc ze spostrzeżenia że cztery elementy Empedoklesa mogą się mieszać i przechodzić jedne w drugie (woda w parę i lód, metale w ciecze i t. p.), czasy lubujące się w fantastyce, czasy średniowiecza — zrodziły astralogię i alchemię, usiłującą przy pomocy sił nadziemskich a w oparciu o doświadczenie spowodować raj na ziemi, zmienić przez wynalezienie tajemniczego kamienia filozoficznego metale nieszlachetne na złoto.

Dopiero w połowie XVII wieku Gas-sendi i Sennert łamią autorytet Arystotelesa, przypominając światu staną naukę o atomach, która teraz święcić zaczyna swój pomowny triumf. Na przekrobie XVIII wieku odkrywają Francuzi, Niemcy i Anglicy pierwsze prawa rządzące w świecie chemii, prawa dające wytłumaczyć się jedynie przyjęciem istnienia atomów. Raz jeszcze wiek XIX ożywi faustowski problem alchemicznego przetrwania mostu między życiem a śmiercią.

Ale alchemicy XIX w. odkrywają tylko skarbiec atomów w terze z węgla kamiennego, zapoczątkowując mimo woli bogaty dział chemii syntetycznej. Atomy stają się potęgą, chemia łamie monopole, ba! wkracza nawet w życie polityczne narodów. Człowiekowi udaje się wynaleźć prawa rządzące tymi najdrobniejszymi cząsteczkami materii, znaleźć metody technicznego ich wykorzystania, planowe go komponowania z cegiełek — atomów nowych budowli — związków chemicznych o żądanych właściwościach, produkowana ich w fabrykach.

Długą, niezmiernie ciekawą drogą przebył triumfujący rozum ludzki. Obserwacja rzekomej przypadkowości, jej powtarzanie się, fantazja i doświadczenie, to jest prowokowanie niejako przypadkowości — to narzędzie poznawczego warsztatu ludzkiego rozumu.

Aż wiek XX dochodzi do wniosku, że atomy Demokryta nie są zgoła czymś ostatecznym i niepodzielnym, że wcale nie są atomami. Fizycy zburzyli gmach świata zbudowanego z atomów, odkrywając wewnętrzny świat atomu. Budowa wszechświata z słońcami i planetami znajduje swój odpowiednik w świecie atomu.

Uczeni nauczyli się rozbić atomy na części, których ilość i porządek ich ruchu stanowią o istocie rzeczy, wracając tym samym do wiary starożytnych w jedność materii i realizując marzenia alchemików, sen o kamieniu filozoficznym.

Im głębiej badacze wglądają w świat atomu, tym bardziej gubi się pojęcie materii. Materia może rozprężyć się w energię, energia zagęszczać się w materię. Im mniejsze są owe pierwotne części składowe świata, tym większa energia jest z nimi związana. Czy w atomach dostrzeże się siły rządzące życiem komórek żywych? Czyżby teraz badacze atomów zbliżyli się do poznania owej kształtującej duszy, którą nawet w kamieniu widział Demokryt? Czy potrafią dać ostateczną odpowiedź na pytanie, jakie siły rządzą ruchem protonów i elektronów, owych słońc i planet zamkniętych w atomie? Czy poza wszystkim, co nazywamy materią, energią, życiem, poza wszystkim, co dzieła i tworzy, tkwi Wola? Na przestrzeni dzieł,ów badawczej myśli ludzkiej rozegrał się fascynujący dramat atomu, jego powstanie, zanik, zmartwychwstanie i przeistoczenie.

Popłynęła na wyspę Bikini w archipelagu wysp Marshalla nowoczesna Arka Noego, parowiec „Burleson“. Przywiózł on na pokładzie niezwykłych pasażerów: 5 tysięcy różnych zwierząt, do drobnoustrojów włącznie, dla doświadczeń nad reakcją organizmów żywych na detonację bomby atomowej. Wybuch w atolu Bikini, to próba znalezienia odpowiedzi na pytanie: czy dramat atomu będzie tylko jednym z etapów procesu wnikania człowieka w tajemnice wszechświata, czy stanie się zarodkiem dramatu ludzkości o rozmiarach kosmicznych. A może zwycięży rządząca światami — od atomu do rozsiągniętych w przestrzeniach międzyplanetarnych kosmosów — Wola Boża? Dramat atomu trwa.

Walerian Lachnitt

D r a m a t a t o m u

Świat cały szuka dziś odpowiedzi na dręczące go pytanie, jakie losy zgotuje mu jeszcze atom. Czy będzie straszającym ludzkość widmem zagłady, czy stanie się ziarnem dalszego postępu, czy będzie przekleństwem, czy błogosławieństwem.

Energia atomowa stała się przedmiotem wspólnych obrad wszystkich narodów świata, obrad ważniejszych niż kwestie granic, czy ustrojów. Wszak siły ukryte w atomie uranu, zmiatają z powierzchni ziemi całe miasta, w paru sekundach zwęglają setki tysięcy ludzi, a miejsce, na którym żyli, czynią niezdatnym do zamieszkania. Siły te wyzwala się z małego atomu, którego nikt nigdy nie widział. Drzemią w istocie powstałej właściwie w genialnym mózgu człowieka, a raczej narastającej przez wieki z myśli badaczy i odkrywców.

2000 lat przeszło toczył się bieg myśli ludzkiej, jak rwący potok, osad doświadczeń i badań składając wokół idei atomu. Od zarania człowieki myśl ludzka zastanawiała się nad istotą, budową i celem wszystkiego, co człowieka otacza. Wszystko jest z czegoś zbudowane, wszystko do czegoś służy, wszystko musi mieć jakąś, choćby ukrytą, lub w danym razie nieznaną przyczynę. Badanie przyczyn zjawisk przeciwstawia się mitowi bogów, twórczy duch obala magiczne zaklęcia zabobonów i wiar. Badanie natury prowadzi do jej opanowania.

Starożytny filozof Leukipp pisał, że nie dzieje się samo z siebie, lecz wszystko jest następstwem jakiejś przyczyny, a dzieje się pod naciskiem konieczności. Ta tęsknota do zgłębienia mechanizmu świata uczyniła ucznia Leukippa, Demokryta z Abdery, twórcą teorii atomów.

Jeszcze przed Demokrytem próbowano wyjaśnić powstawanie rzeczy z jakiejś pra-materii. Tales z Miletu za taką uważał wodę, Heraklit ogień, Pytagoras boski duch, stanowiący istotę wszystkiego, widzi wliczbie. Empedokles uczy, że pierwotnymi elementami budowy świata i życia na nim są: woda, ogień, ziemia i powietrze. Zauważono jednak rychło, że wszystko jest podzielne, nawet owe cztery podstawowe elementy. A czego nie można ostrzem noża podzielić, musi ulec analitycznej myśli ludzkiej, pytającej Naturę o najbardziej podstawowe cegiełki, z których zbudowany jest świat. To właśnie pytanie pierwsi rzucają Leukipp i Demokryt.

Przed dwu tysiącami lat ludzkość weszła na drogę, po której wiedziona przez umysły dziesiątków i setek badaczy od Paracelsusa, Lavoisiera do Skłodowskiej i Rutheforda, dochodzi do jej krańca, gdzie spotyka się z nieobliczalnymi możliwościami samozniszczenia, lub całkowitego opanowania natury.

Żadna materia nie jest w sobie całością, jest częścią czegoś i sama z części się składa. Bo spójrzmy wokół siebie: podgrzewającymi promieniami słońca z życiodajnej gleby wzrastają rośliny. Nimi żywi się człowiek i zwierzęta, on i one umierają, wracają do ziemi ich części składowe, stając się pożywieniem nowego wzrostu, skazanego na nowy zgon. Granic podziału podać nie można, ale przecie muszą być jakieś. Kiedy wszystko ginie i rodzi się na nowo, w tym nieustającym nurcie powstawania i zaniku, atomu — owe cegiełki ogromnej budowy świata w swej istocie niepodzielne (stąd ich nazwa: atomos — po grecku — niepodzielny), atomy owe są istnieniem w procesie sławania się, wiecznym spokojem w nieustającym ruchu i zmianie.

Ale czyż same cegły są w stanie zgro-madzić się w budowlę? Czy tony muzyczne mogą same z siebie złożyć się na melodię? Czy tylko przypadek jest prawem rządzącym światem? Wszak bogowie — mówi Demokryt — są tworem ludzkim, są symbolem światotwórczej substancji, a to, co wiemy przypadkiem, to tylko samookłamywanie się człowieka, szukającego płaszczyka na pokrycie swojej bezradności. Wszystko ma jakiś kształt — uczy Demokryt — a każda forma dąży do wyższej formy, każda jest wyrazem kształtującej woli. Ciało wszelkie są z materii i formy, którą w istotach żywych jest dusza. Poza wszystkim, co ma jakikolwiek kształt, tkwi Wola jako wyraz Prawoli, stwarzającej ze świata wszechświat.

Świat otaczający poznajemy — mówi mistrz z Abdery — dwoma sposobami. Organami poznania zawodnego są zmysły, a kiedy badany przedmiot nie da się już nimi ani zobaczyć, ani słyszeć, czuć, smakować lub dotknąć, wtedy zaczynamy posługiwać się doskonalszym sposo-

Barbara Silimewicz

B A J K A

Słyszę cię moja bajko w lici szeleście,
Bajko mądra i dobra, jak ręce matczyne,
Które gładziły mnie po głowie we śnie.
Dawno to było. Już nie przypominam.
Dzisiaj jestem dorosła. Bajki są dla dzieci,
A zdaje mi się, jakbym coś zgubiła,
Jakbym w wędrownkach po szerokim świecie
Przeszła gdzieś obok P r a w d y, którą w bajce żyłam.

Klemens Oleksik

Z A G A J N I K

Ten granat odmienił krajobraz:
w ataku na białe brzożki
nie znajdziesz i nie rozpoznasz
tej, z ostatniej majówki.

Jeśli wyrzeźbisz w przestrzeni
lej rozgrzanym granatem —
wiosną się zazieleni
kasztan przed twoją chatą

i wtedy, słysząc pszczoły
z odnowionego ula —
będziesz przyglądał się kwiatom,
jak wystrzelonym kulom.

Aleksander Scibor-Rylski

LEŚNA PODKOWA

Tam było piekło.

Noce były najgorze. Od szyby łamał się kiel chmurnego księżycy. Dyszał mróz, jak Stasiak, kiedy tam na Bielanych... Czarność dłała. Była nabita twarzami. Z każdej szpary w podłodze parował jęk. Jęk, jęk, jęk. —

Sosny waliły pięściami w okno. Checiały się wtamać i zadusić. Wicher, jak czołg, chodził wśród pni. O Jezu, Jezu...

A z bandaży ciekło — ciekło —

W dzień — ot, było się zagubionym w tym dniu. Oczy zbierały przerażenie, choć dokoła — kuchnia, barszcz, „szmatławiec“, świeca. W świecy otwierał usta Chudy i trzepał powiekami. Zawsze za drzwiami dobijała się Alma. Uderzała torbą sanitarną. Drzewo drzwí w drzazgi. I drzazgi w oczy, w usta, w skórę, w myśli...

Każdy kopnięty kamień — cztery sekundy lęku, że granat! Każde otwarte pole — nadziane ukrytymi żądnymi peemów.

Wszystko na nic, napluć, zgnoić! Ale Stasiak — i Alma — i Chudy — i Grot — i — i —

Pozwól, ja usiądę tu całkiem cichutko. Ja nie będę przeszkadzał. Nie, nie! — czytaj dalej Chestertona. (Czy widać, że nabłocilem, psia mać!). Chcę tylko siedzieć i widzieć, że można jeszcze uczyć się słówek i żyć.

Powiedz mi — czy ja także kiedyś potrafię?...

Z Kraju...

NA MARGINESIE WYNIKÓW REFERENDUM

Gdy piszemy te słowa, nie są jeszcze znane całkowite i ostateczne wyniki Głosowania Ludowego. Z posiadanych do tej pory wyników można jednak wyciągnąć te najbardziej zasadnicze wnioski, które pozwolą zaakcentować niekonsekwencję pewnej części głosujących.

Zasadniczo nie jest sprawą obojętną, ile głosujących odpowiedziało „nie“ na trzecie pytanie. Wystarczy jednak posiadać dane, że np. w Warszawie było ich 12521, w woj. śląsko-dąbrowskim 120000, w Łodzi 8038, a w Krakowie 43982, aby te tysiące głosów sprzeciwiających się utrwaleniu zachodniej granicy polskiej na Odrze i Nisie określić, jako wynik całkowitego braku rozumu politycznego i zadziwiająco tejże niekonsekwencji. Uczucie zaś pewnej satysfakcji ze strony tych, którzy sami głosowali na trzecie pytanie „tak“, ale skłonni są podziwiać „bezkom. promisywną odwagę“ innych — może postawić pod znakiem zapytania też o polskiej dojrzałości politycznej.

Można być przekonanym, że „nie“ na trzecie pytanie, to wcale nie niechęć posiadania zachodnich granic na Odrze i Nisie — to po prostu coś w rodzaju totalnego protestu przeciw rządzącemu reżimowi. Choćby za cenę dania atutów Niemcom. Tego rodzaju podstawienie sprawy obciąża jeszcze bardziej, niż gdyby odpowiedź „nie“ na trzecie pytanie wynikała z jakiegoś „wykonypowanego“ poglądu na kwestię granic.

Rozumiemy, że w kraju może się toczyć walka polityczna. Jest ona rzeczą zrozumiałą w państwie demokratycznym. Uważamy natomiast, że sprawa granic nie jest i nie była sprawą polityczną, jest natomiast sprawą dla naszego bytu zasadniczą, podstawową, ponadpolityczną, ogólnonarodową. I dlatego odpowiedź „nie“ na trzecie pytanie nie kwalifikuje się jako akt polityczny — taki czy inny — ale po prostu jako szkoderstwo Państwu.

PROCES GREISERA

Zakończony przewod sądowy dostarczył tyle materiału oskarżycielskiego, że nie należy oczekiwać jakichś specjalnych rewelacji nawet w ostatnim słowie oskarżonego. Jedyną rewelacją mogłaby być skrucza Greisera i szczere uzupełnienie wywodów oskarżenia. Na to się jednak nie zanosi. Spodziewać się raczej należy dalszych igrastw i czynienie prób powstania nowej hitlerowskiej legendy.

Charakterystycznymi i specjalnie obciążającymi były zeznania Niemców, powołanych na świadków czy to przez oskarżenie, czy przez obronę. Kat ghetta łódzkiego, Bibow, wyraźnie stwierdził, że Greiser ponosi winę za los ghetta. Rudolf Gamm odsłonił kulisy rządów Greisera w Gdańsku. Zeznania świadka Eugeniusza Makowieckiego ze Szczecina przysięgają wszystkie kłamstwa Greisera przez przytoczenie podsłuchanej rozmowy Greisera z Himmlerem. W rozmowie tej właśnie Greiser domagał się zastrzeżenia kursu wobec Polaków.

W ostatnim dniu przewodu sądowego Greiser słuchał sam siebie. Odtwarzano na sali sądowej z płyt jego własne przemówienia z okresu, gdy twarzą i wład, czym szczekiem naśladował Hitlera. Trudno jest znać wszystkie myśli Greisera. Jedno jest pewne: danym mu jest przeżywać w całej rozciągłości, porównania między szczytami potęgi i dnem nędzy. Czy wyciągnie odpowiednie wnioski i czy zrozumie?

Z ostatniej chwili

W chwili łamania numeru zaczęły nadchodzić wiadomości o krwawych zajęciach anty-żydowskich w Kielcach. Nie mogąc ze względów technicznych szerzej omówić tło tych tragicznych wypadków notujemy tylko, że odezwy wszystkich 6 stronnictw potępiły w sposób zasadniczy prowokatorów, których czyny szkalują dobre imię narodu polskiego. Wypadki tego rodzaju, jak rozruchy kieleckie nie tylko obniżają prestiż narodu polskiego za granicą, lecz naruszają wiarę w dojrzałość polityczną społeczeństwa.

Piesek co pewien czas marszczył włochoaty łepkę nad oczami — i lewym okiem ślizgał się po gładkiej, lśniącej powierzchni kredensu. Lubił tą popołudniową drzemkę, kiedy wysoko ze ściany dolatywało monotonne cykanie zegara, a z za drzwiami, wiodących do kuchni, pobrząk zmywanych naczyń. Dziwne są, dziwne przyzwyczajenia ludzkie — myśli piesek — jego kapryśny Pan drzemie w wielkim, plecionym fotelu z płachtą gazety w dłoniach — jak codzień — jak codzień — jak codzień...

Małe, sprężyste uszki strzeliły do góry! Tylko on, mały piesek, wiedział, że ktoś idzie po schodach tak dziwnie, tak niepewnie, że ten ktoś jest obcy — i do bry i że dźwiga ze sobą coś, co ludzie nazywają nieszczęściem. Kiedy drzwi na dole trzasnęły — lampka karbidowa zamigotała niespokojnie. — Poczóż Pan udaje, że śpi? Chyba nie potrzebuje się krępować małego pieska. Pan chciał odgrodzić snem swe myśli od świata zewnętrznego. Niech chodzą na palcach — myślał — tyle o mnie, jako człowiekowi i panu domu należy się od otoczenia. (Jakież ten świat jest skomplikowany!). Tak, chyba wreszcie dziś zrobi awanturę synowi — byleby tylko znalazł się aktualny pretekst, podejmie ciężką próbę, czy krnąbrność, pewność siebie i oczy i gesty, pełne hamowanego buntu, czy te demonstracyjne niedosłyszania uwag, czy te ironiczne półuśmiechy (jak dotąd poprawnie dwuznaczne), czy ten wiecznie powtarzany werset z Gałczyńskiego — wyzywający w treści, wypowiedziany głosem, pełnym błazeńskiego patosu — czy to wszystko jest jeszcze możliwe do złamania, zdruzgotania, zmiżdżenia powagą ojcowską, prawem żywiciela, autotypetem pięćdziesięciu lat doświadczeń życia?

CONRAD, PRZYBYSZEWSKI I MORZE

Jak to napisał Nowaczyński: „Mapy Polski... jakie się wtedy (to znaczy w latach chłopięcych) rysowało i malowało... świadczyły o silnym instynkcie państwowości i imperializmu“. „Rudzielec Ada“ miał zdecydowanie manię mocarstwowości. I to wcale nie była ta mocarstwowość „na gebę“, co to chce tylko widzieć ideę, myśl, misję itp., ale która rozumie, że — idea jest potrzebna, ale czołgi i samoloty też, myśl — rzecz słuszną — ale także fabryki, drogi i koleje, misja — musi być — ale co za misję może mieć naród, który nie ma swego własnego okna na morza? Kiedy pisał swego „Fryderyka Wielkiego“ i kiedy się wgrzyzał w źródła (dwie strony petitu samych tytułów!), odkrył nagle, o czym później niejednokrotnie będzie mówił z Żeromskim „Żeremiaszem“ — że morze — to symbol naszego życia. Że bez morza — nie ma przyszłości i nie ma horyzontów przyszłości. Włożył swe myśli w usta Bischofswerdera i kazał mu, z pasją właściwą jemu samemu (zawsze własną furją polemiczną obdarzał Nowaczyński najukochańszych swoich bohaterów) mówić do Krasickiego i Skórczewskiej: „On was od morza odciął“. Słyszycie waćpaństwo? Od morza was odciął! A toć jest krzywda najpryncypialniejsza Port Gdański do niego przez szacherki należy! A to wszystko! Od morza was odciął! Jesteście oazą bez cysterny! Jesteście wsią bez studni! On to! To z wami dokazał! Ja wam figurycznie okażę. O tak waszą Republikę chwyci!... Głowa to Gdańsk, a korpus cały to Polska! Gdańsk bez was to głowa bez kadłuba. A wy bez Gdańska! Bez morza Toście kadłub wielki bez głowy. Ino ściąć teraz mocniej, to i kadłub i głowa do niczego...“

I tak oto zaczęło się o morzu. Teraz bowiem Nowaczyńskiego interesuje wszystko, co się wiąże ze sprawami morskimi. Wyczytał w Berlinie o tym godniku „Pan“ wiersz „Am Meer“ — i co ważniejsze — podpis: Stanisław Przybyszewski — pisze do autora list, ściga go na gwałt do Krakowa. Potem oburzony na patetyczny napad Deotymy na Conrada wali list do syna Apolla Korzeniowskiego. Niech przyjeżdża. Conrad nie przyjechał, ale na list serdecznie odpowiedział. Już coś było. Potem zaczęły się studia nad morzem. Wy-

Maciej J. Kononowicz

FRANEK

Małutki piesek musiał się wypowiedzieć, musiał przed tym, nim wejdzie ów ktoś, długo, długo, tragicznie długo przed drzwiami na korytarzu, zrobić coś serdecznie dobrego kapryśnemu Panu. Zwlókł się z poduszeczki, podszedł do wielkiej stopy Pana — i ciepłutkim, szorstkim językiem począł lizać ciało tuż nad zębem zielonego bambosza. Czuję, jak spod przymrużonych powiek Pana, muskają go po kudełkach półsenne, półrzewne oczy... Po to był przecie bystrym pieskiem, żeby i w szparze drzwi do kuchni spostrzec zmęczone oczy Pani, oczy, które pytały: — wejść, czy nie — i żeby ciągle słyszeć stukot serca i oddech nierówny człowieka, stojącego na korytarzu.

Znowu skrzyknęły drzwi na dole. Teraz mu się wejść, mu się zapukać, spłoszony nową osobą na schodach człowiek, o bijącym niespokojnie sercu! Teraz już mu się piesek zaszczekać, żeby podkreślić swą niezawodną, nieustanną, czujność, tak podziwianą przez pół-głuchych i pół-słепych ludzi. Wejście człowieka, niosącego nieszczęście, jest nieuniknione. Ostatnia chwila — piesek wymierzył do brzo: tuż po trzecim szczełknięciu — dzwonek! Pani domu na palcach przekreśliła pokój męża; wiedziała, że nie śpi — ale wiedziała, że musi wierzyć w ten sen, musi u d a w a ć wiarę. I wiedział o tym wszystkim, wszystkim Pan. Zał mu tylko było, że ta komedia zamyka mu drogę do doraźnej, nieprzeparłej ochoty pogłaskać malutkiego, włochatego pieska...

Pani otworzyła z łańcucha drzwi. Nieznajomy postawił na ziemi, przy ścianie,

pękatą teczkę, wykonał ruch, jakby chciał powitać i Pana w fotelu — spostrzegł, że śpi... Lepiej! Cofnął się i półgłosem oznajmił, że Piotr, wplątny przypadkiem w strzelaninę uliczną, jest ranny — nawet nie b e z p i e c z n i e ranny — i jest pod opieką lekarza w mieszkaniu prywatnym, na Wspólnej.

— Może sobie pani adres zapisze — dodał. — Dobrze byłoby go dziś jeszcze odwiedzić. Trzeba dziś — dodał z naciśkiem.

Pan domu uznał, że ostatecznie wiadomość o wypadku jakiegoś kolegi syna nie obowiązuje go do przerwania snu. Z większą siłą odnowiło mu się postanowienie urzędzenia Frankowi awantury. Z kolegami, z tą zgrają nieodpowiedzialnych konspiratorów, każe mu zerwać!

Tymczasem piesek obwąchiwał teczkę, w której rozpoznał żelazo i jeszcze jeden znajomy, tak dobrze znany zapach...

Młody człowiek wyszedł. Wtedy pan domu musiał zdemaskować się. Została teczka, w której diabli wiedzą, co może być. Ano, takie to już są czasy niepewne. Zerwał się z fotela — krzyknął wdół klatki schodowej, że teczka! Tak, musiał wydać jeszcze ten swój miły, komwencyjonałny uśmiech nieznanomemu, uśmiech, który tym razem był odebrany krzyżującymi z bólu i zdziwienia oczami młodzieńca.

— Piotr, hmm — to bodaj syn tego a. dwokata, co? (Piesek śmiesznie wpeigał pod otomanę).

— Był ostatnio u nas pół roku temu, na imieninach Franka. (Karbidówka mrugała coraz niesforniej).

— Ten młody mówił, żeby tam zająć

Jan Dobraczyński

Najgorętszy człowiek

szukiwanie wszystkiego, co Polacy o morzu napisali. A więc jak to Felicjan Faleński „pojechał nad. polskie morze, na Pomorze, do Kaszub. Jeden z pierwszych, jeżeli z Warszawy nie pierwszy. i zamieszkał sobie w miasteczku „Puck“ czyli w Pucku“. I tam dla „pokrzepienia serc rodacych napisał sobie poeta meandrów wiersz zatytułowany „W zatoce puckiej“. Dzisiejszym wirtuozom, których jest legion i jeszcze dwa tuziny ten wiersz musi się wydać staromodny, naiwny, pocziwy... paczula czy werbeną zalatujący. Ale może znajdują się tacy, których wzruszy ten nieznan, skromny hymn do światła, nieznanego poety z 1864 ...“ Wydubał także Nowaczyński co o morzu pisał Długosz („Gdyby Śląsk także Słupia i Pomorze... do Korony Polskiej znowu wróciły, wtedy bym weselej rozstawał się z tym światem“), Rej, Kochanowski, Sarbiewski, Kochowski, Hoefen (który groził Gdańskowi założeniem... Gdyni!), Solikowski, Hozjuz, Trembecki, Wybicki, Staszic, Czacki („trzymajmy się morza!“), Surowiecki, Święcicki, Mickiewicz... Przypomniał ten hymn z kroniki Galla:

„Naszym przodkom wystarczyły ryby słone i cuchnące My po świeże przychodzimy w oceanie pluskające. Ojcom naszym wystarczyło jeśli grodów dobywali A nas burza nie odstrasza ni szum groźny morskiej fali Nasí ojce na jelenie urządzali polowanie, A my skarby i patwory złowim w oceanie...“

Przypomniał rodzimych kaszubskich twórców: Floryana z Ceynowa, Derdowskiego, ks. Kajota, Szelałagowskiego.

Ale nie wystarczy odkryć morze w pamiętkach, w myśli, w uczuciach. Morze trzeba mieć, bo „navigare necesse est“ to jest można nie żyć ale na morze bodaj raz w życiu wypłynąć trzeba. Wprawdzie już przed wojną w Ostsee. bad Zoppot bardzo przypadł do gustu naszej publiczce — ale to była tylko modna ekskursja na „bliską za granicę“ a nie powrót nad morze. Jechało się tam

i z Warszawy, i z Poznania, z Galilei i Lodomerii (a jakże!) i z Ojran, z Grodna, z Białegostoku. I jak nie było jechać kiedy w kurorcie popisywał się sam Otton XXIX panujący księżę Gelsenkirchen - Reckingshausen w plejadzie swych najbliższych echt i ur-Germanów: grafa von Hutten-Paradowsky i von Witzewitza. A w ogóle był szyk, dryll, pruska „kultura i cywilizacja“ pruskie wynalazki i takie miłe słówka! „Auf wieder sehen in Warschau...“

Ale ta wszystko nie było żadnym odkrywaniem morza. Aż wreszcie Nowaczyński dzięki samochodowi Czyżewiczów z Dołzka tam zajechał. „Raz na takiej samochodowej wycieczce zawadziło się o... Gdingen... Okazało się, że w puściutkim kurhausie jest jakiś właściciel, jakiś bufet, beczka z piwem, kilka butelek „machandlu“, dalej jakaś sala jadalna, jakaś weranda, ogródek z akcjami, potem jakiś „steg“, potem maleń-

Tadeusz Rokitniak - Chróścielewski

Przy kamienicy

Ojcu i Siostrze.
Pan Rzecki w oknie nad podwórkiem
Trąca gitarę z gryfem białym,
Bo wiosna budzi się w naturze
I dziś bzy jasne rozkwitały.

Hej, Panie Rzecki, przyjacielu,
Gdzież jest Twe mroczne okno z kratą?
Przyszło tu do niej ludzi wielu
Z ogniem, a teraz znów z łopatą

I będzie pogrzeb kamienicy:
Przywdziało słońce złoty ornat
I będzie r e q u i e m — szmer ulicy,
A ziemię rzuci — cisza sporna.

Gdzież Bonaparte Twój? — źle wróżę,
Był pono w Anglii, ale umarł...

NIE WRACA

dzisiaj. Może byś się wybrała? (Wielki cień wazonu ze sztucznymi kwiatami pulsował na ścianie).

— Dobrze, dobrze, pójdę, jak tylko Franek wróci. (Oczy ich odbiły się jak piłki i spojrzenia ostrym kątem zbiegły się na nóżce małego pieska, ślizgającej się po posadzce).

Wtedy powinien wrócić Franek. I właśnie dźwięk zegara, bijącego siódmą, przelał się pod ostrym zrywem dzwonka. Awantury nie będzie — pomyślał Pan — akurat dzisiaj Franek musiał być punktualnie! Ale to była tylko Basia... Weszła cicho do pokoju i jednym ukośnym spojrzeniem odczytała z twarzy ojca obecną atmosferę domu. Coś musiało być. Albo coś dopiero będzie. Pochyliła nad książką, uzupełniała drobnymi szczegółami zastaną sytuację. Już pozmywane naczynia. Za chwilę będzie wymówka. Oczywiście matczyzna wymówka, na osobności, w kuchni. Piesek? Pod otomaną — pewnie w nielaskach. Oh, chciała już wreszcie doczekać tej uwagi o świetle karbidowym i psuciu oczu! To było w każdym razie nieuniknione, nawet gdyby nie czytała... Sygnał karetki policyjnej, wysysanej w ciemność ulicy, skierował i jej oczy na tarczę zegara. Ojciec to samo myśli: Franka j e s z c z e nie ma.

Powoli, z uwzględnieniem znaków przestankowych, intonacji, gestów i zmarszczeń, powoli przygotowywał Pan wielką mowę, którą powita syna. Basia zdążyła już ukradkiem podchwycić kilka próbnych efektów — uniesienia brwi, ściągnięcia ust, dyskretnie (niby to) zaciśniętą pięść... Starła się przewidzieć, odgadnąć tą pierwszą złośliwą i wymowną

uwagę, którą ojciec przemysłał już na powitanie Franka. To musi być coś o lordzie, o księciu udziałnym... Bała się dzisiejszej awantury. Znając tryb Frankowego życia, jego ciągłą żonglerkę między życiem a śmiercią, jego nerwy poszarpane, przepracowanie, rozdrażnienie — mogła przewidywać, że i on wreszcie wybuchnie. A wtedy?

Bicie zegara rozkruszyło konstrukcję szykowanej mowy — w domu rozrastał się niepokój, podpałał światelka w oczach domowników, przyspieszał bicie serc, oddech, automatyzował i mnożył gesty i odruchy. Franek nie może dziś już wrócić — trzy kwadransy po godzinie urzędowej. Noga Pana coraz szybciej się kołysze nad podłogą — palce dłoni coraz głośniejsz uderzają o poręcz fotela, w oczach Basii tańczą i rozmazują się litery — z kuchni, przez szparę drzwi, bucha niepokojące, duszne milczenie. Trzeba rozbełtać ten niepokój byle czym: głośnym zdaniem, chrząknięciem, spacerem...

— Miałas iść odwiedzić Piotra, może chłopak jest konający. Wyraźnie podkreślał ten gość, żeby dziś —

Przez szparę drzwi dobiegło głośne, głębokie westchnienie.

— Przecież ten wycackany Piotruś niczym takim się nie zajmował, musiał na prawdę przypadkiem wleźć na awanturę...

Basia jakby się ocknęła. Rozszerzone oczy przenosi na ojca.

— Czy nie słyszysz, że mówię do ciebie, Anno? — Powinni zawiadomić je go rodziców — ostatecznie, coż my z nim mamy wspólnego, coż my mu pomożemy

i dlaczego nas zawiadamia?

Basia dygoce jak w febrze. Kładzie rękę na piersi i oddycha ciężko, jakby jej tchu brakło. Pan domu rzucił krzywe spojrzenie w jej stronę. Czyżby smarkata kochała się w tym kalusiu? Czyżby tam chodziła na lekcje muzyki? A może to tylko niepokój o Franka? Powiedział: — Gdzie się zapodział Franek? Chyba ty najlepiej wiesz, gdzie on się zawlókł na noc?

— Powiedźcie mi... o jakiej... strzelaninie mowa...

Pytanie pominięto milczeniem. Z kuchni znowu pobrzęk naczyń. Będzie kolacja, kolacja bez Franka. Basia nakrywa stół obrusem. Ręce jej ciągle drżą i w oczach skaczą czarne literki. Boi się ponawiać pytanie, boi się okropnie odpowiedzi, która —

I wtedy mały piesek wypelza spod otomany, idzie w kąt, gdzie stała teczka nieznajomego, obwąchuje miejsce przy miejscu, kuli się, przykładą, trzęsie mechatym lebkim i kwili ostrym, szczytującym skowytym. Pan domu przerzuca się na nastroj tkliwy i liryczny. Bierze pieska na rękę i tuląc jęczący lebek do piersi — daje pośrednio — odpowiedź Basii.

— Szekałaś mały piesek na obcego pana... dobry piesek, dobry, pilnuje domu... a coż to wywachałeś znajomego w teczce tego pana? co? No powiedz, powiedz... obcy pan chciał, żeby pieska zostawić samego... żeby iść do jakiegoś Piotrusia, który leży ranny, tak? N opowiedz, psinko, dlaczego akurat my i dlaczego dzisiaj, co? Jak wróci niegrzeczny Franuś...

Basia spytała cicho: — Czy wymieniałaś nazwisko Piotra?

— Nie.

Przez straszny, okropny szloch Basii przedarły się słowa:

— Piotruś... to przecież... pseudonim Franka!!

Zegar bił dziewiątą godzinę...

Ze świata

CZY ATOM ZAWIÓDŁ?

PRÓBA atomowa w atolu Bikini przyniosła wiele rozczarowań. Kryje się w tym jednak z najbardziej groteskowych paradoksów. Wydaje się bowiem, że czytelnicy sprawozdań, nadchodzących z okrętów obserwacyjnych, byłiby bardziej zadowoleni, gdyby okazało się, że wybuch był fantastyczny, że szkody są olbrzymie, że bomba atomowa grozi zagładą nie tylko w skali globu ziemskiego, ale w skali międzyplanetarnej. Byli nawet tacy, którzy w dniu wybuchu bomby spodziewali się jakiegoś huraganowego trzęsienia ziemi i t. p. kaktizmów.

Rzeczywistość zawiadła oczekiwania. Atol Bikini stoi, jak stał. Ład nie uległ zmianie. Żaden okręt nie zatonął. Lotnikowiec „Saratoga“ nawet nie zmienił pozycji. Samochody na brzegu atolu całe. Tereny zalesione bez zmiany. O brzeg uderzają małe fale. Niektóre okręty palą się.

Takie sprawozdanie nadsyła korespondent PAP. z okrętu obserwacyjnego „Appalachian“, bezpośrednio po dokonanej próbie.

Po 2 godzinach okazało się, że są szkody, ale niewielkie. Po 12 godzinach admirał Blandy oświadczył dziennikarzom na pokładzie okrętu obserwacyjnego, że szkody wyrządzone atakiem japońskim na Pearl Harbour, były dużo większe, niż skutki wybuchu bomby atomowej w atolu Bikini.

Jednak w próbach nad atolem Bikini istnieje niezbadana tajemnica. Niektórzy sądzą, że tajemnicę tę należy rozwiązać pod kątem politycznym. Że próba na Pacyfiku miała udowodnić, iż bomba atomowa nie jest straszna dla mocarstwa morskiego. Że przed bombą atomową muszą drżeć tylko mocarstwa lądowe.

Trudno nam — tak odległym od tajemnic polityki międzynarodowej i od interesów armatorów — wypowiadać swój zdecydowany pogląd na sprawę. Wydaje się nam jednak — i opiłujemy powtarzać z uporem maniaków — że klucz do udanych, czy nieudanych eksperymentów znajduje się w dobrej lub złej woli mocarstw, usiłujących przynajmniej w tej chwili, dyskutować potęgę atomową dla doraźnych celów wielkich gier dyplomatycznych.

To właściwie nie powinno nikogo oburzać. Można bowiem nawet na bombę atomową spojrzeć, jak na niewinny środek medyczny, sprawdzający w ciężkich zaburzeniach uśmierzenie, spokój i... pokój.

NOWY RZĄD HOLENDERSKI

SKŁAD nowoutworzonego rządu holenderskiego znakomicie ilustruje przewagę politycznych wpływów katolików w wielu państwach zachodniej Europy. Poza premierem rządu holenderskiego Beel'em, katolikiem, w skład rządu wchodzi 5 katolików, 4 członków holenderskiej Partii Pracy, oraz 3 bezpartyjnych.

SPRAWA TRIESTU

WYDAJE się, że okręty wojenne zakotwiczone w Zatoce Weneckiej, będą mogły powrócić spokojnie do swych portów macierzystych. Triest zostaje umiędzynarodowiony. Kontrola należeć będzie w zasadzie do czterech mocarstw, z tym jednak, że tak Jugosławia, jak i Włochy miałyby zapewnioną dostateczną kontrolę nad tym „umiędzynarodowym“ tere^m.

Jest rzeczą bodaj najważniejszą, że Jugosławia, reprezentowana w Paryżu przez wicepremiera Kardeja, zgadza się na kompromisowy projekt Francji w sprawie umiędzynarodowienia Triestu. Główny punkt zainteresowania Jugosławii znajduje się w postulacie przyłączenia Gorycji do Jugosławii. Natomiast Włosi kwestionują nadal postanowienia Czterech. I tutaj Triest nie jest głównym punktem zastrzeżeń. Włosi przeciwdziałają się temu, co zadawania Jugosławii. Premier włoski de Gasperi sprzeciwia się sugestiom francuskim co do włączenia Poli do Jugosławii. Nadzieja na porozumienie wszystkich part^{er}ów istnieje. Jeśli idzie o Wielką Czwórkę, porozumienie osiągnięto — a to chyba najważniejsze.

ciemnego pokolenia (3)

kie porażwane łązienki z prawej i z lewej. I morze! Wtedy nagle olśnienie i raptowna heroiczna decyzja: zerwać z Zoppot. Tu przeniesie nasze lary i penaty! Dość zgiełku światowego z Weldbad Krähwinkel! Dość syren i sportów! Wścigów psów i koni! Werminghafa i Hohenzollerna, tanag i kabaretów, hałasu, dymu, elektryki, cywilizacji, kultury... Gospodarz nazywał się Schikowski. Schikowska była Wasserpolką, poprzednio kucharką u samego komendanta twierdzy gdańskiej...“.

I Nowaczyński wywędrował do Gdyni. Był to lipiec roku Pańskiego 1911 r. Od tego lipca przez trzy sezony aż do 1914 r. Później napisze, że wśród zastug jego żywota było: „pierwsze postawienie oficjalne kwestii do morza (1904). Od krycie Gdyni. „Ile tam było z prawdziwego odkrycia — Bóg raczy wiedzieć, choć jak wynika z listu Przybyszewskiego nie ma w dumie Nowaczyńskiego

żadnej przesady. Dopiero po nim przyszedł Antoni Chołoniewski. Po nich wreszcie największy, ten, który już od paru lat „zaczął zaczytywać się po swojemu, to jest śmiertelnie dzień i noc we wszystkim co się tyczyło Pomorza, Kaszubów, Fryderyka Wielkiego... Obotrzytów... Wenedów... Mazurów...“ statystyka, folklor, słowniki, ciężkie prace historyczne“. Kto? No, naturalnie późniejszy autor „Wiatru od morza“ Żeremiasz.

Ale tymczasem Ada siedział w Gdyni. „Cichszej miejscowości chyba nie było wówczas na całej kuli ziemskiej. Po zopockiej Sodomie odkryta Arkadia pasterska i patriarchalna. Wieś miała porozrzuconych w szerokim kręgu czy zasięgu kilkadziesiąt „checi“, gdzie nie gdzie małych domków z większą skupioną pod lasem Panieńskim i z drugą od kurhausu na prawo. Motywy pejzażowe zgola Ruysdaelowskie, z fragmentami z Lacrety i Poussina. Od strony morza precyzyjnie skomponowany amfiteatr z wysokimi borami w głębi, za gościncem Chylańskim, z lasami Witomińskim i Radłowskim. Z lewej pogrze Steineru wówczas urwista pierzeja z ostepiskiem ku morzu cała zalesiona chłopięciami drzewkami aż po folwark Klein-Katz w głębi. Z prawej amfiteatr Bożej Zatoeczki zamykał Oxhöft z kościółkiem rybackim... Między Gdynien a Oxhöft cały teren zalegały szerokie brunatno zielone torfowiska i nieprzebyte nieprzyjemne mokradła. Sceną tego amfiteatru był „szmaragdowy kobierzec“ morza, cichego, spokojnego, ledwo łuszczącego się w dzień pogodne, lekko awanturującego się tylko w dniach burzliwych i od połowy października... Samo Gdingen właściwie otaczały dokoła pola łubinowe, żółte i niebieskie, wszędzie gdzie tylko z góry spojrzeć na jałowych wydmach lotnego piąchu także...“.

Po checiach i domkach mieszkali oni. Oni, to znaczy, ci co tu przez sześć lat wytrwali, wszystko przetrzymali, ruszyć się nie dali i czekali, czekali przez dwadzieścia kilka generacji. Ciche, spokojne, niby to niemrawe, niezbyt zgrabne, milozące, nieufne, odburkliwe,

kosym okiem na „Płuchów“ z zaziemia patrzące plemię... „Rebaki“ ciężko borykające się z małorybnym i małosolnym Bałtykiem, często o poprzekręcanych na zwiskach i przekręconej świadomości narodowej...“.

Tak to wyglądała Gdynia owego czasu już bardzo gorącego, bo się furor teutoniusis do nowej akcji przebudził i bił w tarabany przeciwko „Grosopolnische Bewegung“ i tym polakom co znowu po tylu latach ku morzu się nieśli. Nowaczyński przyszedł na tę ziemię i nie tylko przyszedł, ale zaczął o niej pisać z tą swoją zwykłą a przecież niebywałą furią pisarską. Od razu zrobił się ruch. Przyszła wojna. A potem mu Bożą Zatoeczkę przerobili na foremny fort. Po drapał się nieco w głowę, bo wiadomo, że „rzeczywistość bywa... albo znacznie piękniejsza od fata morgana albo znacznie brzydsza“, a najczęściej w swej słusznej piękności diablo brzydka... Co robić? Morze jest po to, aby nim oddychać i z niego czerpać jdo-się ducha, a nie wyłącznie dla snobów bukolicznych — i z samochodem — wielbicielei zakątków. Morze jest dla narodu, ale nie dla paru spryciarzy co się na nim poznali. Morze jest dla narodu bo „navigare necesse est“, nawet signor Mussolini, kiedy jeszcze w 1920 r. bezprezjensjonalnie w swej gazecie skrobał, twierdził, że dla Polski morze jest racją stanu i potrzebą życia. Morze... — co tu dużo gadać — bez morza nie ma przyszłości i póki każde polskie dziecko nie będzie miało w uszach szumu fal, nie wyrosną u nas Surcoufy, Raleighy, Gerbaulty, Conrady, Whitmany, Longfellowy...

„Les nations — pisał już w sanacyjnie dziadkowskiej i dziadkowskiej dobie Nowaczyński — se classeront en nations de premier range et de second rang, selon qu'elles auront ou n'auront pas une marine. Tak powiedział których z mądrych Francuzów. W podobny też sposób wyraziło się kilkuset wybitnych Holendrów, Anglików, Włochów, Szwedów, Niemców i innych cudzoziemców. Albo więc będziemy mieli większą marynarkę i wtedy jesteśmy une nation de premier rang albo nie będziemy mieli i wtedy z wielką trudnością da się obronić ten strzęp ziemi pomorskiej, jak to Gdynię już w „Hamlecie“ nazwał nie kto inny a Szekspir.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Rzeckiego

A wiosna budzi się w naturze...
I czemuż nie grasz? pękła struna?

O weź madziarskie, żółte spodnie
I stryja szablę weź ułańską!
...Rotowy ogień bije z Chłodnej,
Frytz Minzel niszczy Świętojańską.

Gdzież Bonaparte? u Połtawy?...
Wiesz? — wiem już, nigdy go nie było...
Ni Ciebie nie ma, ni Warszawy...
Wynieśliście się ku mogiłom.

Có żpozostanie? — zryw ku górze?
Drzew odbudowa? promyk biały?

...Od wczoraj wiosna jest w naturze.
Od dziś bzy jasne rokowały.
Marzec 1945.

WSRÓD KSIĄŻEK

Listy spod Morwy*)

Dzwne wrażenia budzi ta niepokojąca, zewnętrzną, — pasja jak surów więzienny, z literą „P“ w czerwonym trójkącie — książka Gustawa Morcinka, wydana przez Wydawnictwo „Literatura Polska“ w Katowicach. Nazwisko autora gionalizmu śląskiego mów nam wiele. Któż nie pamięta jego książek? Dla tych wszystkich, którzy znają twórczość Morcinka, jasne jest, że nie mógł on gdzie indziej przeżyć wojny, jak tylko w niemieckim obozie koncentracyjnym. To, że w ogóle uszedł z życiem, należy uważać za wielki dar nieba.

Z każdej karty książki Morcinka, zawierającej jego obozowe wspomnienia, bije nieskończony smutek człowieka bezgranicznie umęczonego, człowieka, na którym przeżycia obozowe pozostawiły niezatarty ślad. Oto pod starą morwą w dolinie Isere'y, w Biviers pod Grenoble siedzi biedny, spragniony spokoju i święskniony za swymi Beskidami Śląskimi wędrowiec, który nie szuka już przyjaźni pośród ludzi, lecz pośród zwierząt, wędrowiec, którego nawet wolność nie potrafi ukołoić... „Wspomnienia z obozu zwały się tłumem, skojarzyły z widokiem błotnistej Isere, z ponurą ciszą bezdzietnych wsi francuskich, z mrowiem gnijących jabłek pod jabłoniemi w opuszczonych sadach, z pożarem lasów alpejskich w głębi nocy i ze smętkiem u kresu dnia każdego. I wszystko znalazło swój zbiorny wyraz w skardze Michała Anioła, iż ani jedna myśl nie zakiełkuje w jego duszy, która by nie nosiła oblicza śmierci“.

klawie wyłuskana ze strasznych faktów

Pierwsze strony pamiętnik, ujętego w formę listów do „Najmilszej Władki“ niezbyt przekonujące z powodu wstrzemięźliwości uczuciowej, nużą nieco pewną niezręcznością zbyt chwilałami osobistego tonu. Ale cierpliwość czytelnika, który — nawiasem mówiąc — doć już ma opisów krwawych zbrodni popełnianych na więźniach w obozach hitlerowskich, zostaje sownie wynagrodzona prawdą, wni przez pisarza, który nie przeszedł koło tych faktów jak fotograf, dbający wyłącznie o wierność zewnętrznych obrazów, lecz jak inteligentny analityk, badający sumiennie procesy odbywające się w duszach katowanych niewolników. Szlachetny obiektywizm, który nie obawia się, choćby niezbyt pochlebnym, świadczy przedstawienia ich w prawdziwym świetle „odbrazowienia“ jeńców w obozie i o głębokim umiarkowaniu prawdy potrzebnej niezmiernie naszemu społeczeństwu, żyjącemu często w sferze zakłamanego bohaterstwa. Autor nie waha się opisywać wypadków ludobójstwa dokonanego na trupach, nie waha się mówić o upodleniu młodzi, która ulegała swym zwierchnikom-pederastom, nie waha się ukazać nam, mimo swej wielkiej religijności, biedotę umysłową i moralną, oraz kalectwo religijne niektórych księży obozie — pisze — zabijało godność ludzi przebywających w obozach... „Życie w kę w człowieku, odczuwało go uśmiechem, stępało jego wrażliwość na widok krzywdy bliźniego i uczyło nienawiści stadowdy. Głód i lęk o życie zamieniały człowieka w wilka... Oto wystarczyło, że w głodnym stadzie ludzkim, stłoczonym w jednej izbie, znalazł się kolega słabszy moralnie czy fizycznie, bardziej wycieńczony lub schorowany, by rasza rzuciła się na niego po prostu, jak stado wilków rzuca się na swego osłabionego czy ranego współtowarzysza, by go zagryźć i pożreć. Człowiek słabszy w naszym stadzie wywoływał nienawiść do siebie. Kopany, odrzany od miski, wyrzucany z lepszego barłogu, nawet bity — może dlatego, że bezkarnie — bywał usuwany poza nawias żrącego się między sobą stada ludzkiego. I musiał umrzeć... Owo „homo homini lupus“ było zjawiskiem najczęstszym pośród więźniów niemieckich. „Człowiek w obozie, zwłaszcza w okresie głodu, wyżył się wszystkiego, co mu zostało narzucone przez kulturę i cywilizację. A raczej powiedzmy tak: człowiek wyżył się w obozie wszystkiego, co zostało przez niego nabyte w ciągu życia, co raczej było tylko cienkim nalotem kultury...“.

Wobec ogromu zbrodni wyrodniałców niemieckich „człowiek w obozie był... męczennikiem i bohaterem. Wyrafinowany system zabijania w nim godności ludzkiej przekształcał go jednak w tego samego potwora, jakim był jego oprawca. I tego właśnie „człowieka w obozie“ znieświadziłem w tym samymstaniu, co „esmana“.

Kładąc na jedną szalę upodlenia ludzkie spowodowane życiem obozowym, Morcinek sprawiedliwie umieszcza na szali drugiej wszystko to, co ratowało wśród więźniów poczucie godności ludzkiej. A więc opisuje ofiarności księdza Kolbe, który z własnej woli poszedł na śmierć, by zastąpić swego sąsiada, opiaruje wzajemne podtrzymywanie się w duchu, chroniące przed zalaniem się i samobójstwem, za pomocą budzenia żarliwości religijnej i mistycyzmu, za pomocą szerzenia procy, przepowiedni, jasnowidzeń, wróżb, snów proroczych i

t. zwanych „paroli“, czyli optymistycznych wieści ze świata, za pomocą organizowania przedstawień symbolizujących zwycięstwo Polski, oraz „organizowania“, to znaczy przemycania do obozu, mimo grożącego kar, książek polskich... „Ta prosta, częstokroć niedoceniana książka polska czyniła dziwne cuda. Oto spiute, sponiewierane serce ludzkie rozkwitało w nieoczekiwanej godzinie wielkim płomieniem, zgaszone oczy rozpalaly się żarem, człowiek zmęczony do ostatka, częstokroć już tylko szkielet ludzki, trup żywy, podnosił nad nią głowę, prostował się i uśmiechał do swych myśli takim uśmiechem, jakim tylko dziecko potrafi uśmiechać się do przydrożnego kwiatka. A jeżeli na rzęsach ukazała się cudaczna łza, zbierał ją niezgrabnie wierzchem dłoni i mruzczał na uniewinnienie: — Pierona — coś mi do oka wpadło...“.

Niezmiernie wzruszający i pełen wyrazu jest opis następującej rozmowy pomiędzy więźniami, przeprowadzonej bezpośrednio po bestialskim znęcaniu się nad nimi „esmanów“: — „Ty... — podyszałem jego szep, podobny do skomlenia. — Czy mnie słyszysz?... — Co chcesz? — Ty... powiedz mi... — Co ci mam powiedzieć?... — Czy jest Bóg... czy nie ma Boga?... Jezus Maryja! Czy jest Bóg... czy nie ma Boga?... Powiedz! — i jał mną szarpać w jakimś okropnym paroksyzmie rozpacz. — Mów!... Jest Bóg... Czy Go nie ma... — błagał natarczywie. — Nie wiem! — rzuciłem mu twardo w odpowiedzi, Bo sam nie wiedziałem. Popatrzył na mnie z żalem i zwał się z powrotem na swój siennik. Skulił się, nakrył głowę kocem i zaczął łkać. Jak małe skrzywdzone dziecko“. Fragment ten najlepiej mówi nam, jak wielkie znaczenie miało w obozie wzajemne podtrzymywanie się na duchu.

W książce Morcinka nie ma nic skłamanego. Choć autor wykazuje jak zwykle swój wielki idealizm, równocześnie potrafi doskonale oddać fermentujący w udręczonych duszach osad, który nie pozwalała przejść nad przeżytymi faktami do porządku dziennego i zdobyć się na pogodę. „...Jak żołnierz, który stracił rękę czy nogę na wojnie, tak i my zatraciliśmy coś ze swej wewnętrznej istoty w ciągu tych przeszło pięciu lat w obozach. Czujemy pustkę koło siebie, czujemy pustkę w sobie. Doznajemy wrażenia, że znajdujemy się w bolesnej próżni. Pustkę wypełniamy marzeniami, lecz jakież one biedne i również dalekie!... Najboleśniejszym może to dla nas, — jeżeli ktoś z nas wierzącym — że już nie umiemy się modlić. Bo gdy ktoś z nas zaczyna odmawiać w chwili wzruszenia tę najpiękniejszą modlitwę, jaką kiedykolwiek człowiek wyszeptał: „Ojcie nasz, który jesteś w niebie“, to sportrzeże, iż tak trudno wypowiedzieć szczerze tamte słowa: „...i odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom!“.

Słowa te są dla nas, jak kamień na prostej drodze, na którym boleśnie się potykamy. Na słowach tych załamujemy się i nie możemy zacząć modlitwy...“.

O swym wielkim znuczeniu, jakie zresztą i niejedni z nas po wojnie odczuwają, o zatruciu potwornym złem wojny i obozów koncentracyjnych mówi także Morcinek w swym liście z Rzymu, gdzie obecnie przebywa, liście zatytułowanym „W poszukiwaniu Boga“, a umieszczonym w świątecznym Tygodniku Powszechnym.

Końcowe słowa „Listów spod Morwy“ uderzają w ton nadziei, że... „podobnie jak w obozie, miał człowiek wiarę, iż przyjdzie dzień wyzwolenia, a wiara ta utrzymywała go przy życiu, tak i teraz pragnie mieć tę wiarę, iż może kiedyś przyjdzie chwila, taka dziwnie radosna cicha, pokorna chwila w życiu, kiedy będzie mógł wyseptać owe proste słowa: — „...i odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom!“.

Budowa książki Morcinka jest ciekawa przez bardzo naturalne, kojarzeniowe nastanie wspomnień pod wpływem pobudek zewnętrznych. Głównym motorem przywołującym przeszłość jest natura odczuwana przez pisarza głęboko, z zadziwiającą chwilałami świeżością. Oto np. gdy autor idzie w Biviers drożką pomiędzy zieloniejącymi w słońcu winnicami, przypląta ku niemu takie wspomnienie: „...Pamiętam, kiedy raz jednego stałem zamyślony przed kolczastymi drutami, naszło mnie ogromne pragnienie, by chociażby jeszcze raz przed skonem móc widzieć drogę. Taką drogę pełną słońca, wiodącą między zbożami i między łakami. Zeby móc stanąć gdzieś na jej rozstaju i słuchać sercem — bo czymże by innymi? — i słuchać sercem, jak tą drogą wędrowały całe pokolenia ludzkie...“.

Opisy przesładowania więźniów w obozie pełne są realizmu kontrastującego z poetycznymi obrazami przyrody. Język Morcinka jest prosty, niepozabawiony przy tym ładnych metafor, np.: „Po stokach leciał ciepły, szumiący wiatr i zagamiał dźwiękami pęty. Złote fale sły równymi rzędami wśród zboża. Na dnio doliny ciekła strużka dzwoniącej wody...“.

Morcinek przyłącza też sporo cytów. Oto przepiękne powiedzenie Kanta: „Dwie rzeczy napełniają nas wciąż nowym i wciąż

wzrastającym podziwem i zdumieniem: rozgwieżdżone niebo nade mną i moralne prawo we mnie: gdyż one dowodzą, że Bóg jest nademną i Bóg jest we mnie“.

Do książki Morcinka trudno się zabrać, lecz przebrnąwszy przez kilkanaście pierwszych stron, można się w niej rozsmakować i znaleźć w niej wiele artystycznej prawdy.

Wanda Baweczówna

Z dziejów walki o kulturę

Oddając dziś hołd bohaterom frontu walki zbrojnej z okupantem, nie wolno na mżapominać o tych, którzy z niemniejszą ofiarnością i poświęceniem prowadzili walkę na innym froncie, na froncie walki o polską kulturę. O tych, co z narażeniem życia strzegli naszego dorobku cywilizacyjnego, co prowadzili tajną akcję oświatową, co nie przerywali prac i badań naukowych, kontynuując je w najcięższych warunkach. Zasłużyli się oni niemniej, chociaż inaczej, od tych, co z bronią w ręku stawali. W tragicznych latach obłędnego niszczenia, negacji i anarchii ducha, strzegli trwałych wartości narodowych, prowadzili pozytywną konstruktywną pracę, w skutkach swych wybiegającą w przyszłość, wychowywali zastępy młodzieży dla Polski Jutra.

Jednym z dokumentów tej wspaniałej walki o kulturę polską, o byt i prawa nauki polskiej, są dzieje Uniwersytetu Poznańskiego w czasie okupacji. Jego historię w latach 1939—1945, jak również dzieje odbudowy w wolnej Polsce, we własnej siedzibie, zawarł w swej mowie na uroczystej inauguracji drugiego roku akademickiego 1945-46, rektor Uniwersytetu Poznańskiego prof. dr. Stefan Dąbrowski. Przemówienie to, obiektywne i realistyczne, wolne od patosu i frazeologii, oparte na danych faktycznych i cyfrowych, zostało obecnie wydane drukiem w broszurze „Uniwersytet Poznański 1939—1945“.

Z chwilą wkroczenia Niemców do Poznania, w parę tygodni po jego zajęciu, rozpoczęła się barbarzyńska grabież i niszczenie całego mienia uniwersyteckiego. Wszyscy profesorowie zostali aresztowani. Wielu z nich zamordowano w kaźni na forcie VIII, inni, w straszliwych warunkach, zostali wywiezieni na tereny t. zw. Gubernii. W murach zaś uczelni polskiej otwarto „Państwowy Uniwersytet Niemiecki“ (27.IV.1941 r.), który wg. zamierzeń swych założycieli miał być „kuźnią idei hitlerowskiej, która naukowo uzasadniała konieczność wytepienia elementu polskiego w jego odwiecznych siedzibach, przeznaczonych na życiową przestrzeń niemiecką“. I te zadania podjęli sprawdzeni uczeni niemieccy, a jacy to byli ludzie, niechże świadczą słowa pamiętnika jednego z nich, profesora a. natomii dra Vossa, który wspominając o znajdującym się w zakładzie anatomii krematorium, gdzie spalono „tylko“ 8000 zwłok, pisze: „Polacy stają się coraz częściej towarzyszyli przepędzić przez najbardziej bezczelnie, gdyżby to można było kie piec! Wtedy nareszcie naród niemiecki miałby spokój na wschodzie“. Niechże świadczyć stopy płonących ciał i prac naukowych, wandaliskie niszczenie dorobku i mienia naukowego polskiego. Słusznie podkreśla rektor Dąbrowski, że „na przykładzie uczonych niemieckich, którzy przybyli tu na służbę nienawistni, widz my jak wygląda wiedza tam, gdzie nie jest kierowana miłością obiektywnej prawdy. Tak będzie zawsze, gdziekolwiek nauka stanie się narzędziem celów ubocznych i igraszką politycznych namiętności“.

Przerachowali się jednak w swych zamierzeniach i planach, tępi w swym szaleństwie i głupi w swej pysze — Niemcy. Można było wprowadzić zniszczone zakłady, spalić i rozgrabić zbiory, zać budynek, wymordować wielu uczonych polskich, ale nie można było zabić ducha polskiej uczelni. Choć z daleka od ukochanego Poznania, w murach najwspanialszej stolicy wiata — Warszawy, odżył Uniwersytet Poznański, odżył jako tajny Uniwersytet Ziemi Zachodnich. Dane dotyczące jego działalności, imponujące. Otwarty w październiku 1940 r., z końcem 1943 r. liczył ponad 700 słuchaczy i ponad 100 wykładowców, prowadzących wykłady, normalne ćwiczenia i seminaria. W r. 1944 liczył 1673 słuchaczy i 156 wykładowców, w tym wydział lekarski: 610 słuchaczy i 79 wykładowców. Budżet miesięczny wynosił 80.000 zł. miesięcznie, a stypendia akademickie 8.000 zł. Społeczeństwo, doceniając znaczenie podziemnego Uniwersytetu, udzielało mu wydatnej pomocy. Doznawał jej również ze strony tajnych władz rządowych. Departament Oświaty Delegatury pokrywał 25% budżetu Uniwersytetu.

Wśród straszliwej nocy okupacji, w niezmiernie trudnych warunkach konpirozstrzeliwani, wśród łapanek i „wsp“, racji, przy akompaniamencie egzekucji i ponosząc dotkliwie ofiary i straty — istniał i rozwijał się Tajny Uniwersytet Ziemi Zachodnich, chlubny i bohaterski ośrodek nieugiętej walki o kulturę polską, promieniujący jednocześnie i na inne ośrodki. Filie jego bowiem powstały w Kielcach, Jędrzejowie i w Częstochowie. A kiedy przewalała się zawierucha wo-

jenna nastąpiło wznowienie Uniwersyte-tu Poznańskiego w jego własnej siedzibie. W jakich ciężkich warunkach! Poniszczone gmachy, zdewastowane materialnie zakłady, zdekompletowany zespół profesorski. A jednak i tym razem bohaterzy drugiego frontu, frontu walki o kulturę polską, nie zawiedli. Już z końcem kwietnia 1945 r. ruszyły normalne (jak na dzisiejsze warunki) prace. Dziś Uniwersytet tętni życiem i pracą nad zaleceniem ran, zadanych mu przez wojnę i przezwy-ciężeniem przeszłych powojennych, będąc jednocześnie jednym z trzech głównych ośrodków nauki polskiej na Złemiach Zachodnich.

A. OI.

Sprawy niemieckie

Polacy na ziemi Lubuskiej i na Łuży-cach przed rokiem 1939. Tajny memoriał niemiecki, Opracowali: dr. K. Kolańczyk i dr. Wł. usiński. Wydawnictwo Instytutu Zachodniego, Poznań, 1946.

Nakładem Instytutu Zachodniego został wydany niezmiernie interesujący dokument niemiecki, a mianowicie tajny memoriał z listopada 1938, będący jednocześnie sprawozdaniem urzędu prezesa rejencji frankfurckiej (Frankfurt n. Odra) odnośnie danych co do liczebności i postawy psychicznej ludności polskiej na terenach pogranicznych. Memoriał ten, opracowany na podstawie obiektywnych danych faktycznych, przyciągnął swą prawdą i gwałtowność niemieckiej propagandy, jest świadectwem siły i odporności ludności polskiej i nieugiętej postawy, wobec brutalnej akcji germanizacyjnej, przy pomocy której chcieli Niemcy „opanować“ ziemie wchodzące w jego terytorium państwowego. W memoriale tym wybija się na czoło solidarność narodowa, myśl organizacyjna, wytrwałość i cierpliwość Polaków w dochodzeniu swych celów.

Memoriał ten (o nieszczęsny jego autorze) jest hołdem złożonym mimowoli — ludności polskiej, jest krzykiem świadectwem „że na Zachodzie nie tylko ziemia gromadzi prochy, ale że były tam zawsze gorącym i ufnym rytmem prze-liczne polskie serca“.

Bolesław Sroeki. Polska i Nowe Niem-cy. Instytut Bałtycki. Gdańsk - Byd-goszcz, 1946. Str. 35.

W pierwszej części swej broszury stara się autor przeprowadzić tezę, że „we wzajemnym stosunku polsko - niemieckim Polska na ogół wygrywała wojny, przegrywała natomiast czasy pokoju; odra-dzała się po klęskach, nie wyzyskiwała zwycięstw i okresów potęgi“.

Niebezpieczeństwo niemieckie wymaga od nas czujności. Chodzi jednak o to, by była ona zwróconą na właściwe tory. Do nowych „demokratycznych“ Niemiec nie możemy mieć zaufania. Wśród jej heroldów są przecież dobrzy znajomi: Rauschning, Brüning, Trevisanus i inni „polakożercy“ i „rewizjonści“. Jednocześnie przecież „podstawy faktycznej kulturalnej, politycznej i kulturalnej hegemonii Niemiec na kontynencie europejskim zakładał nie Hitler, lecz Stressemann“. Dla równowagi i spokoju Europy większym są może niebezpieczeństwem „onoty“ „dobrych“ Niemców, niżeli „wady“ „złych“. „Plug“ niemiecki był zawsze dopełnieniem „miecza“ a uczony filozof, poeta, kupiec czy rolnik — dopełnieniem żołnierza czy kata z obozu koncentracyjnego. Podwójność oblicza Niemiec wykłuczła możliwość radykalnej zmiany psychiki niemieckiej, droga wychowania, propagowania idei humanitarnych itp. To zaś wymaga specjalnych zasad, na których musi się oprzeć system zabezpieczenia przed Niemcami, a mianowicie:

1. Konkretnych rozstrzygnięć terytorialnych i politycznych, osłabiających Niemcy a jednocześnie wzmacniających kontrpartnerów. Więc granica Polska na Odrze i Nisie, usamodzielnienie i wyodrębnienie Łuży, umiędzynarodowienie Kanału Kilońskiego, wyodrębnienie Westfalii i granica Francji na Renie.

2. wzmocnienie warunków zbiorowego bezpieczeństwa przez współpracę państw pokojowych i rozwój międzynarodowej solidarności, oraz przez utrzymanie i wzmocnienie węzłów geopolitycznych i kulturalnych państw zagrożonych imperializmem niemieckim.

4. spotęgowanie sił i preżności społecznej i gospodarczej państw powyższych i uzdolnienie ich do skutecznej rywalizacji z Niemcami.

W drugiej części swej broszury zajmuje się Bolesław Sroeki problemem „przeludnienia“ Niemiec, dowodząc, że planne są obawy Niemców co do wewnętrzno-gospodarczej sytuacji przyszłych Niemiec wskutek „przeludnienia“, które Niemcom nie grozi. Chwilowe zaś „przegrzewanie kotła“ jest przejściowym i muszą się z nim Niemcy pogodzić.

Chcieli przecież wojny... Broszura „Polska i Nowe Niemcy“ jest wydawnictwem popularnym.

A. OI.

Autorów i wydawców, którzy pragną aby ich książki były omawiane w „Dziś i Jutro“, prosimy o nadesłanie do Redakcji po 2 egzemplarze recenzyjną.

*) Umieszczamy recenzję tej książki, choć dotąd nie nadesłano nam egzemplarza recenzyjnego.

*) Uniwersytet Poznański 1939—1945 (Okupacja niemiecka i odbudowa po wojnie). Księgarnia Akademicka, Spółdz. z odp. udz. Poznań 1946, str. 70.

Tydzień kulturalny Szeroki horyzont

NA FRANCUSKIM RYNKU

BLOY nabiera znowu znaczenia. Wydawnictwo „Mercure de France” przystąpiło do ponownego wydawania jego książek. Ostatnio ukazał się „Le salut par les Juifs” dedykowane Raissie Maritain (żonie Jakuba Maritain). Na polski nie została przetłumaczona dotychczas ani jedna książka Bloy! Nowa powieść Bernanosa „Monsieur Ouine” (wyd. Plon, 1946) jest wyjątkowo słaba. Bohaterem jej mroków — jak zwykle u Bernanosa — jest nieśmiały lecz świątobliwy proboszcz wiejski, tym razem z Fenouille. Również nie najlepszą jest nowa powieść Mauriaca „La Pharissienne” (wyd. La Centaine).

TROCHE PLOTEK.

W NAJBLIŻSZYM czasie ukaże się nakładem „Panteonu” powieść St. Kisielewskiego, której fragment był drukowany w r. ub. „w Twórczości”. Również „Panteon” wydaje tom nowel Iwa szkiewicza („Młyn nad Lutynią” — „Bitwa na równinie Sedgemoor”). Z. Skierski wykańcza wielką powieść, prawdziwy romanfleuve z lat 1935 — 1945. Z. Kossak pisała z Londynu (gdzie dotychczas przebywa lecz skąd wyjedzie w najbliższym czasie do Ameryki) o swej ukończonej powieści na tle życia pod okupacją w Warszawie. Żukrowski nie może się doczekać swego „Tiurlistanu” wydawanego i nawet zapowiadanego od niepamiętnych czasów przez S. Kamińskiego, „Książka” wydaje reportaże J. Zagórskiego z Niemiec p. t. „Indie w środku Europy”. Oficyna Księgarska wypuszcza „Wiersze” K. I. Gałczyńskiego z kapitalnymi winitami J. Knothe, trzy tomową powieść J. Dobraczyńskiego „Najeźdźcy”, Gembarzewskiego „Antologię poetycką o Warszawie” i wreszcie nowe wydanie i nowy przekład (tym razem autoryzowany) „Dziejów Chrystusa” J. Papiniego. Również antologię poezji okresu wojny przygotowuje J. Szczawiej. Wyjdzie nakładem Państwowego Instytutu Wydawniczego. Wyszło drugie wydanie „Jeziora Bodeńskiego” Dygata i nowe wydanie Rusinka „Z barykady w dolinę głodu”. „Czytelnik” zapowiada na najbliższe tygodnie Fiedlera „Dywizjon 303” i Dobraczyńskiego „W rozwalonym domu”.

ZNOWU SZTAMA.

PO dniach sporów pomiędzy „Kuźnicą” i „Odrodzeniem” doszło znowu do porozumienia. Żółkiewski napisał „semantyczną kobylę” do „Odrodzenia” zaś Vogler pochwalił „Mitologię i realizm” Kotta której to książki omyłkami bawiło nie tak dawno „Odrodzenie” swoich czytelników.

MOUNIER PISZE.

ISTATNIE „Odrodzenie” przynosi ciekawy artykuł nie dawno u nas goszczącego redaktora paryskiego „Esprit” E. Mounier o „Egzystencjalizmie”. Przypominają się rozmowy z tymże Mounier i jego powiedzenia jak np. „Mauriac napisał już wszystko co mógł napisać” a „śmieszna jest rzeczka włączanie Malraux w szeregi pisarzy komunizujących — dla tego człowieka życie jest tylko wielką przygodą — i to wszystko...”

O WSCHODZIE W ODRZE.

ZAJĘCI sprawami zachodu zapominamy często o wschodzie kraju. Słusznie prostuje to zagadnienie A. Pawlikiewicz i t owlaśnie w... „Odrze”.

„URANIA”.

UKAZAŁ się pierwszy numer pisma popularno-naukowego poświęconego sprawom astronomii p. t. „Urania”. Niestety numer jest mało popularny i mało — właściwie — naukowy, a stanowi raczej szereg informacji fachowo astronomicznych na rozmaitym poziomie. A szkoda. Astronomia stała się ostatnio pasją powszechną i mądry popularyzator w stylu Jeansa czy Eddingtona byłby u nas czytany niczym powieściopisarz.

SKIERSKI TŁUMACZY NA CZESKI.

NOWELE K. Z. Skierskiego „Sztuka umierania” ukażą się jesienią w przekładzie czeskim nakładem „Wydawnictwa Narodowego” w Pradze.

TAJNA WOJNA W SKANDYNAWII

Nie jest ciągle jeszcze dostatecznie znane prawdziwe stanowisko niektórych neutralnych krajów w ostatniej wojnie. Dotyczy to między innymi i Szwecji, która — jak się obecnie okazuje — była przez aliantów używana jako tajna baza do ważnych operacji. Pułkownik lotnictwa amerykańskiego Bernt Balchen, który jest naturalizowanym w Stanach Zjednoczonych Norwegiem, opowiedział niedawno szczegóły przebiegu tej całej akcji.

Były dwa zasadnicze zadania, stojące do wykonania przed alianckimi placówkami w Szwecji, przez cały czas trwania niemieckiej okupacji Norwegii. Przede wszystkim — ewakuacja norweskich pilotów i alianckich lotników, zestrzelonych przez Niemców nad Norwegią z tego kraju. Następnie, dostarczanie posiłków dla norweskich ruchów oporu. Szwedzi przewozili broń i amunicję, a także oddziały norweskich sabotażystów swoimi kolejami żelaznymi aż do granicy norweskiej. Szwedzi urządzali manewry swych wojsk specjalnie nad samą granicą i dostarczali Norwegom materiał wojenny, przywożony do Szwecji przez amerykańskie samoloty. W jednym naprzekład wypadku, szwedzki samochód policyjny dowiózł dla norweskich ruchów oporu ładunek dentonatorów, które były zbyt niebezpieczne do przewozu koleją.

Ludzi przewożono między Oslo i Sztokholmem najczęściej w wagonach czystych, idących w składach towarowych pociągów, lub też w zbiornikach wody na tendrach lokomotyw. W tym drugim

wypadku, dla uniknięcia zamarznięcia lub utonięcia podróżnego, musiał on jechać w kostiumie nurka. Jednym z wielu, którzy w ten sposób odbyli tę ryzykowną podróż — Niemcy nigdy nie wykryli tej drogi komunikacyjnej — był Jens Christian Hauge, obecny norweski minister obrony narodowej, a wtedy jeden z przywódców walki podziemnej.

Początkowo wszystkie samoloty amerykańskie, lądujące na szwedzkich lotniskach za cichą zgodą rządu Szwecji, nie posiadały zupełnie znaków, stwierdzających przynależność państwową, zaś ich załogi były w ubraniach cywilnych. Ale już po roku zaniechano zupełnie tych środków ostrożności i całkowicie jawnie używano dwóch lotnisk, mając pozwolenie na korzystanie z jeszcze pięciu.

Operacje na wielką skalę rozpoczęły się z wczesną wiosną roku 1944. Około 2000 Norwegów zostało wyszkolonych w Szwecji, częściowo pod kierownictwem szwedzkich oficerów. Zostało zawarte szczegółowe porozumienie ze szwedzkim ministerstwem obrony narodowej i ministrem lotnictwa, dla uzgodnienia znakowania amerykańskich samolotów, umownego szyfru rozpoznawczego i długości fal radiowych, na których miano się porozumiewać. Szwedzki Sztab Generalny otrzymywał zawsze zawiadomienia o przelocie amerykańskich płatowców, co umożliwiło wydawanie nadgranicznym placówkom szwedzkiej obrony przeciwlotniczej odpowiednich zarządzeń, dla uniknięcia ostrzeliwania tych maszyn przez szwedzką artylerię.

NIE ZAPOMNIJ

wyjeżdżając na urlop podać Administracji zmianę adresu.

Jedyną pewnością stałego otrzymywania pisma

TO PRENUMERATA

Przegląd prasy

W szlachetnym i po stokroć szlachetnym artykule Juliana Przybosia „Upowszechnienie czego? (Odrodzenie Nr 26/83 zabrakło omówienia zupełnie zasadniczej kwestii, jaką jest wzajemny stosunek za chodzący między sztuką i społeczeństwem. Cały szereg szlachetnych zarzutów, wysuwanych przez Przybosia w stosunku do Ministerstwa Kultury i Sztuki zamyka się, niestety, w granicach obserwowanych faktów, bez uwzględnienia i omówienia przy czyn, pod których wpływem fakty te powstają.

Z prawdziwym i uzasadnionym oburzeniem krytykuje Przyboś fakty tolerowania masowej produkcji bohomaszów i wydawania literackich zmir. Rozprawia się z uprawianiem demagogii „jakieś swoistej, odrębnej kultury robotnika czy chłopca”, a w konkluzji żąda przejawów troski „o rozwój dobrej sztuki”, o opiekę nad dobrym artystą.

Jest rzeczą bezsporną, że łączenie propagandy zagadnień społecznych z twórczością literacką czy plastyczną, jeśli jest celem planowania w dziedzinie kultury i sztuki, nie rozwiązuje w najmniejszej mierze zagadnienia wzajemnego stosunku, za chodzącego między sztuką i społeczeństwem. Zagadnienia tego nie rozwiąże również postawione przez Przybosia zadanie upowszechnienia „kultury estetycznej”. Można bowiem zamknąć w pewnym planie politykę upowszechnienia „sztuki najwyższej” przez stopniowanie rozpowszechniania dzieł literackich od „łatwych” do „trudnych”, można stworzyć plan upowszechnienia kultury teatralnej przez stworzenie państwowych teatrów objazdowych, można wreszcie pójść po linii niedostępiania ogółowi szlagierów rewii i rozpocząć propagowanie np. Mo niuszki — wszystko to jednak nie rozwiąże poruszonego przez Przybosia, jakby mi mochoodem, zagadnienia społecznych źródeł sztuki.

Pisze Przyboś, że „ludzie sztukę nie dają od społeczeństwa niczego więcej niż — możliwości całkowitego oddania się swej pracy twórczej, która sama jest największą satysfakcją i nagrodą”.

Nie jest to żądanie minimalistyczne. Można go raczej nazwać zastosowaniem pewnego maksimum, gdyż zamyka się w nim nie tylko ocena wartości artystów, ale także wymaganie pełnego zaufania do twórczych przez tych artystów dzieł sztuki.

Przy takim ujęciu rzeczy muszą istnieć pewne nadrzędne kryteria, oceniające powstające dzieła nie tylko pod kątem ich wartości artystycznej, ale i społecznej. A że kryteria takie muszą istnieć, wywnioskować można z treści artykułu Przybosia, oceniającego negatywnie społeczną wartość twórczości Reymonta i Rydla w literaturze, oraz małą artystyczną wartość Stryjeńskiej i Szczepkowskiego.

W artykule Przybosia jest jakieś niedomówienie, brak w nim recepty na rozwiązanie tego momentu, gdy odbierając społeczeństwu pseudo-sztukę, trzeba mu dać sztukę prawdziwą, do której społeczeństwo nie dorosło. Chodzi o sam moment wychowania społeczeństwa.

Bo dopiero tutaj rozpoczyna się tragedia niemożności spełnienia szlachetnych postulatów Przybosia. Trudno sądzić, aby można było wycofać z obiegu i spalić książki Mniszkówny. Tak samo trudno sądzić, aby człowiek czytający Mniszkównę zachwylił się Orzeszkową.

Różnica między zmirą a dziełem polega nie tylko na braku lub istnieniu wartości artystycznej. Wartość społeczną książki wyznaczają jej odbiorcy. I dopiero tutaj, właśnie w tym punkcie, można zrozumieć owo planowanie, zakreślane twórczości przez instytucje, mające krzewić i upowszechnić kulturę i sztukę.

Postulat Przybosia o zapewnienie rzeczywistym artystom możliwości tworzenia o tyle tylko może się przyczynić do spopularyzowania w społeczeństwie prawdziwej sztuki — o ile artyści wyczuwają istotny nurt życia społecznego, o ile spełnią wymagania stworzone przez społeczeństwo. Dobrej książki nie trzeba pchać do każdej chaty. Sama wejdzie, gdy spełni warunki, dyktowane jej przez potrzebę chaty. A wzbudzić potrzebę czytania dobrego tomu poezji czy prozy to proces bardziej zawiły, niż danie artystom możliwości swobodnego tworzenia.

Z drugiej strony, Szwedzi udzielali Amerykanom najdokładniejszych informacji o obecności w powietrzu niemieckich patroli myśliwców. Norweski ruch oporu informował Sztokholm w wszystkich ruchach niemieckich statków w norweskich portach. Sygnalizowano pojawienie się nowych konwojów czy też statków obrony przeciwlotniczej. Na mapach alianckich zaznaczone było niemal że każde działo niemieckiej obrony nadbrzeżnej w Norwegii, również szczegółowo znane rozmieszczenie wojsk i samolotów na lotniskach.

W roku 1944 Amerykanie postanowili przerzucić do północnej Norwegii kompanie wojsk policyjnych i dwie jednostki szpitalne. Odbyło się to bez wszelkich osłonek. W nocy na lotnisku sztokholmskim wylądowały amerykańskie samoloty, noszące na skrzydłach i ogonach znaki wojskowego lotnictwa i nadmiar zaopatrzone w białe gwiazdy — oznaki inwazyjne. Załogi były w mundurach. Dalszemu odlotowi stanęła na przeszkodzie wyjątkowo zła pogoda, która uniemożliwiła przybycie ze Szkocji maszynom kontynuowanie lotu w rejon Kirkeness w północnej Norwegii.

Pobyty na lotnisku przedłużał się i dowodzący grupą amerykańską udał się do kapitana Olsona, kierującego szwedzką policją, strzegącą portu lotniczego, który zgodził się na udanie się amerykańskich żołnierzy w pełnych uniformach do miasta. Również i szwedzkie ministerstwo spraw zagranicznych nie czyniło wtedy żadnych trudności.

Niejednokrotnie zdarzyły się na granicy szwedzko-norweskiej wypadki, kiedy to patrole szwedzkie staczały małe potyczki z niemiecką strażą graniczną dla uratowania jakiegoś Norwega, tropionego przez gestapowców. Szwedzkie samoloty obserwowały stale granicę, sygnalizując posterunkom ziemnym uciekinierów i ratując ich nieraz w ten sposób przed śmiercią w pustyni śnieżnej.

Podczas wojny ponad 60.000 Norwegów zbiegło do Szwecji. Utworzono w nich świetnie wyekwipowane przez Szwedów wojska, które w odpowiednim momencie wkroczyły do Norwegii.

Samoloty amerykańskie startujące ze Szwecji zrzuciły w Norwegii 1442 ludzi i 120 ton sprzętu i amunicji. Wykonywały również i specjalne, tajne zadania.

Do takich należało przewiezienie ze Szwecji do Anglii wielkiej skrzyni o wadze dwie i pół tony, o nieznanym zawartości. Dopiero po dowiedzeniu jej na miejscu, piloci dowiedzieli się, że wieźli V2 — latającą bombę, która została wystrelzona przez Niemców i nieuszkodzona spadła w Szwecji, która ją wydała do zbadania angielskim technikom. Było to już w lipcu 1944 roku, a dopiero w październiku tegoż roku, bomby te zaczęły spadać na Londyn.

OFICyna KSIĘGARSKA

Warszawa, Marszałkowska 34

zapowiada

K. J. Gałczyńskiego

W I E R S Z E

J. Dobraczyńskiego

„NAJEŹDŹCÓW”

KATECHIZM

najtańszy i najbardziej nadający się dla młodzieży, str. 96, wydanie 1946 — wysyła paczkami po sto egzemplarzy za pobraniem lub po wpłaceniu na konto PKO Nr VII—608 Łódź 1,060 zł (cena hurtowa 10 zł., detaliczna 15 zł plus porto)

ks. dr. Win. Heleńowski
Gostynin, wojew. Warszawsk.

JEDEN Z DNI

Cela nie posiada okna. Jest mała duszna i zonie zgnią wilgocią. Leżymy pólnadzy, spoceni na rozłożonych wojskowych płaszczach. Gdzieś w miesie zegary napewno wybijają godziny i ludzie śpieszą do pracy, do kawiarni, do kin, czy na przechadzkę na Terazje).

U nas jest ciągle wszystko tak samo. Nic się nie zmienia. Dzień jest taki jak noc, a noc jak dzień. Rozmowy są ciężkie jak nasze myśli, a serca przepelnione gorczą niezrozumiałej krzywdy.

Na biało wapnowanej ścianie celi widnieje drabina kresiek. Każda kreska, to dzień, to ciężkie przeżycie, to rozpaczliwy w swej prostocie dziennik więźnia, stonowiący niemy wykres jego cierpienia. Z dworu dolatuje półwierkiwanie wróble i klaksony przejeżdżających samochodów.

Wolność jest tak blisko!
Ze szpar wysuwają się stonogi i karaluchy.

Leżymy w bezruchu wpatrzni w sufit. Ciekawe o czym myśli Staszek? Może myśli o domu, a może o swojej dziewczynie, a może o tym, że wróble są szczęśliwe od nas?

Żółte światło słabej żarówki oświetla nasze blade ciała, charakteryzując je na typy wycieńczonych przez opium Chińczyków.

Z korytarza dolatują ciężkie kroki strażnika.

Czas płynie. Cela jest w bezruchu. Nawet stonogi i karaluchy zamaryły na białej ścianie, jakby w oczekiwaniu na coś, co nie nadejdzie.

Jak duszno!
Oddychamy ciężko, chwytając w rozpalone płuca drobiny powietrza dostające się przez mały wentylator. Wpatruję się teraz w listę okalającą podłogę naszego więzienia.

Ktoś daleko napewno tęskni za mną, napewno jest ktoś, kto się niepokoi.

Przychodzą mi na myśl krwisto-karminowe wiśnie, podawane w domu w niebieskiej salaterce, w tej, która stała zawsze na dolnej półce kredensu. Wiśnie były dojrzałe, soczyste i tryskały z nich lepki sok, cierpko-słodkawy nektar. To było już dawno!

Ciekawe dlaczego Staszek nie chce się odezwać? Ta cisza odbiera mi możliwość swobodnego myślenia. Dlaczego nie chce się o nic zapytać, choćby, jaki dziś dzień mamy?

A, prawda... jaki to dziś dzień?

A, prawda... jaki to dziś dzień? Lecz zresztą, to wszystko jedno.

Zaraz... w czwartek katowali więźnia nad naszą celą. Przykro było słuchać jak czaszka jego spadała z tępym łoskotem na podłogę... i ten zwierzęcy ryk przechodzący w kwilenie małego dziecka... Biedny!

I ten tupot nóg, ta ucieczka w czterech ścianach i krzyk, krzyk, który do dziś brzmi mi w uszach. — Biedny człowiek! Wie, że pojutrze znów przyjdą do niego i będą bić kolbą pistoletu po czasce, że cucić go będą kubłem lodowatej wody... ach! po co myśleć o tym?!

Dlaczego Staszek nie chce nic powiedzieć?

Pewno myśli o tym młodym, któremu kazali stać dobie w baczność. Jakżeż on wołał: matko, matko! Lecz cóż ich wzrusza płacz dorosłego mężczyzny?

A co też z moją matką? Pamiętam, jak długo patrzyła za mną, kiedy odchodziłem. Miała taką smutną twarz, aż tragiczna. Nie płakała wcale.

Ach! Warszawa! Daleki, kochany stos ruin.

Przypominam sobie, jak będąc małym chłopczykiem, przechodziłem przed grobem Nieznanego Żołnierza i wartownik, nasz polski żołnierz, uśmiechnął się do mnie spod ocienionego kaskiem czoła. To też było dawno.

Warszawa! Daleka, pozostawiona gdzieś na półmocy jak — zgubiony skarb.

A, ona? — po co myśleć? Szkoła podwaja cierpienie. Co może myśleć? Może, że piję whisky w otoczeniu amerykańskich żołnierzy, trzymając umalowaną barmankę na kolanach... a zresztą, łudzę się: na pewno nic nie myślę.

Żeby tak mógł usnąć! Czemu Staszek zaciął się i nie chce powiedzieć ani słowa? — Dobranoc Staszku!

Śpi. Szczęśliwy. Pewno jest teraz w swoim Krakowie, pewno wrócił do domu i opowiada niezwykłe przygody. Ach! Żeby móc usnąć!...

Dziwne! Spałem. Czy też to dzień, czy noc? Przecież to wszystko jedno.

Stonogi spacerują dalej po wapnowanej ścianie.

Trzeba znów wierzyć i znów prosić. Tak ciężko! Tak duszno!

...Och! To dzień, na pewno dzień — słyszę jak z ulicy ćwierkają wróble, szczęśliwe, brumne ptaszki.

Marek Antoni Wasilewski

*) Terazje. Plac — centrum Beogradu. Terazje znaczy dosłownie — wagi.

Ratujmy Stare Miasto

„Stare Miasto. Warszawy relikwiarzu święty, Pleśnią wieków porosły, mgłą ich przestronięty“.
Or-ot.

Dla Polaka Ojczyzna nie jest pojęciem oderwanym, filozoficznym. To przede wszystkim ziemia polska i zabytki wielkiej, choć często tragicznej przeszłości. Naród — jest łańcuchem pokoleń, skutym w jedną organiczną całość wspomnieniami wspólnej przeszłości. Patriotyzmu i polskości uczyły nas mury Wawelu, Rynku Krakowskiego, warszawskiego „Starego Miasta“, Poznania, Gdańska... Bez nich Polska byłaby pomniejszona... Ciężiej byłoby w niej żyć i trudniej byłoby za nią umierać.

Warszawa jest sercem Polski. Sercem Warszawy było „Stare Miasto“! Amfiteatralnie położone na wysokiej skarpie warszawskiej, cieszyło wzrok kolumną Zygmunta, strzelistymi wieżycami kościołów i murami domów, jakby żywcem wyjętych ze średniowiecznej legendy. Dla każdego Polaka był to widok obok Wawelu najdroższy, nigdy niezapomniany i zawsze z radością oglądany.

Był to jeden z najtragiczniejszych momentów w dziejach nie tylko Warszawy, ale całej Polski, gdy runęła na bruk kolumna Zygmunta, gdy ogniem i żelazem zgruzowano Stare Miasto.

Cały naród był jednomyślny: wiedza uczonych, praca robotnika, ofiarność całego społeczeństwa — zrekonstruuje zniszczone zabytki. To, co obalił niemiecki barbarzyńca, zostanie podniesione z pyłu ulicznego i cegła po cegle na dawne miejsce postawione.

Niestety, odbudowa Warszawy rozciąga się na coraz dłuższy okres. Terminy wymieniane w zeszłym roku są tak obecnie niewiarogodne, że nawet statwetny BOS o nich milczy. Wtajemniczeni twierdzą, że dotychczas nawet nie uzgodniono, gdzie wywozić gruzy. Oficjalny optymizm przestał cieszyć „szarego człowieka“.

Wszyscy chcielibyśmy widzieć jak najprędzej odbudowaną Warszawę. Zwłoka odbudowy nowych dzielnic jest przykra, ale pozostawianie w dotychczasowym stanie „Starego Miasta“ jest tragiczne. Wy-

palone staromiejskie kamieniczki, które początkowo możnaby łatwo odbudować, pod wpływami atmosferycznymi rozpada się. Cegła się lasuje i zamienia się w czerwony proszek. To jest katastrofa kultury polskiej. Tego nikt nie naprawi. Warszawskim Starym Miastem musi się zaopiekować cała Polska.

Odbudowa Wielkiej Warszawy, to praca wielu lat i wielu miliardów. Dzieła tego może dokonać tylko państwo. Przy akcji społecznej należy ten wielki cel ze względów propagandowych rozbić na mniejsze, ale bardziej osiągalne cele. Trzeba wytworzyć szlachetną, rywalizację poszczególnych stanów i zawodów, z których każdy mniejszy lub większy obiekt podejmie się swoim kosztem odbudować, np. cech szewców — dom Kilińskiego, rzeźnicy — Sierakoskiego, restauratorzy — Fukiera, doktorzy — Baryczków, adwokaci — Skargi i t. d. Zbiórki na Katedrę Św. Jana winno zainicjować, we wszystkich parafiach, duchowieństwo katolickie. Jeśli idzie o odbudowę Zamku królewskiego, to w tej sprawie należałoby rozwinąć szerszą akcję wśród Polonii amerykańskiej. Ameryka odbudowała w zeszłej wojnie katedrę w Reims, a obecnie finansuje rekonstrukcję Montecassino. W tym wypadku jest również jedynie remont konkretnych obiektów historycznych, a nie ogólna odbudowa kraju, czy miasta. Francuzi i Włosi potrafili spopularyzować ideę ratowania barbarzyńsko zniszczonych zabytków.

Na ofiarność społeczeństwa można tylko wtedy liczyć, gdy będzie ono widziało w zamian za swoje ofiary konkretne rezultaty. Wyżej podany system zapewni pod tym względem największe możliwości. O jego skuteczności i oddźwięku można było się zresztą przekonać w ostatnich dniach, kiedy na wiadomość, że młodzież akademicka Krakowa podjęła zbiórki na konkretną odbudowę kolumny Zygmunta, natychmiast jedna z firm metalurgicznych zaoferowała własnym kosztem odtworzyć zaginiony z pomnika miecz i krzyż.

„Starą Warszawę“ może odbudować jedynie głębokie umiłowanie i wysiłek całego narodu polskiego.

Zygmunt Prószyński

— Jak coś zdziałać mogą byki,
— rzekł ktoś, — gdy im brak podwiki,
— Aby w pracy przeszedł mrówkę,
Dał mu SPB — jałówkę! —

Pocięchy z tego niewiele,
Jałówka to jeszcze ciele.

Wiadom^o, czym ciele miele,
W gruzie, brudzie i popiele.

Znajdźcie takiego pastucha,
Którego BOS — byk posłucha.

Eubulus

Na oddział wiejski ZZLP.

Oddział Wiejski Z. Z. L. Polskich młodym pomaga — jak fama głosi — a jak ta pomoc wysłada,
Nr. 18 — tygodnika „Wieś“ nam donosi.

Jeszcze w tym roku napewno się ukaże „Chłopski Kalendarz Literacki“ — będą w nim wielgachne „kobyłki“ Króla, wiersze Piętaka i może da coś Józio Chwacki.

A dalsza w kolejności działalność wydawnicza: młodzieńki Pawełek Kubisz da „Przednówek“, Józef Jędrus Frasiak „Cień wzgórz“, a Jaś Bolcio Ożóg „Nasza włość“ dla mrówek.

Badania nad okupacją niemiecką

Działalność wydawnicza Instytutu Zachodniego ma swój określony i wyraźny ciężar gatunkowy i bezwzględnie wysuwa się na czoło współczesnego ruchu wydawniczego. Przedmiotem jej są wydawnictwa o charakterze naukowym i dokumentarnym, dotyczące zagadnienia polsko-niemieckiego oraz problemu naszych ziem i granic zachodnich. Są to zadania ogromnej wagi. Wbrew bowiem tym, co zbyt popohopie chciałby uważać problem niemiecki za definitywnie rozstrzygnięty, w następstwie pogromu militarne Niemiec w ostatniej wojnie i ustalenia granic na Odrze i Nisie, zagadnienie niemieckie istnieje, w dalszym ciągu istnieje niebezpieczeństwo niemieckie, trwa dalej historyczny proces polsko-niemiecki. Fakty te wymagają od nas nie tylko czynności i gotowości, ale gruntownej znajomości tych zagadnień przez całe społeczeństwo, zarówno w perspektywie historycznej, jak i w rzucie aktualnym, jednocześnie zaś wymagają, abymy przed trybunałem opinii narodów stawali z bogatym materiałem dowodowym. I dopiero uprzytomniając sobie te rzeczy, możemy właściwie ocenić działalność naukowo-wydawniczą Instytutu Zachodniego.

W historycznym sporze polsko-niemieckim okresie 1939—1945 ma i będzie miał zawsze specjalny charakter. W tym bowiem okresie wyzwoliła się bestia teutońska z więzów cywilizacji w całej tej okazałości i pokazała swe prawdziwe oblicze. Szlakiem hańby i zbrodni nakreśliła krwawe memento niemieckie dla Narodu Polskiego.

Praca Karola Mariana Pospieszalskiego: Polska pod niemieckim prawem 1939—1945 (Ziemia Zachodnie)*, która się ukazała jako tom pierwszej serii „Badania nad okupacją niemiecką w Polsce“, ma charakter dokumentarny. Obrazuje ona życie Narodu Polskiego, jego położenie prawno-polityczne, kulturalne i społeczno-gospodarcze pod okupacją niemiecką na ziemiach zachodnich. Praca ta, jak się dowiadujemy z przeomowy, była już gotowa pod koniec czerwca ub. roku i jeszcze przed wydrukowaniem złożona Ministerstwu Spraw Zagranicznych i Głównej Komisji Badania Zbrodni Niemieckich. Powstała z dnia na dzień równoległe ze zbieraniem źródeł. Mimo krótkości czasu, jakim autor dysponował do jej napisania, opracowana została sumiennie, źródłowo, z gruntowną znajomością tematu.

Całość materiału rozbił autor na trzy grupy zagadnień. W części pierwszej autor omawia ogólnie takt wcielenia zachodnich ziem Rzplitej do Rzeszy, daje zwięzły zarys administracji państwowej i samorządowej na tych ziemiach pod okupacją, omawia stosunek prawa niemieckiego do polskiego, które „w zasadzie od pierwszej chwili władzy niemieckiej przestało mieć jakiegokolwiek znaczenie“, porusza wreszcie zagadnienie obywatelstwa. W części drugiej zajmuje się stanowiskiem prawnym Polaków na ziemiach zachodnich pod okupacją niemiecką, omawia położenie majątkowe, prawo do pracy, dążności niemieckie do biologicznego wyniszczenia narodu polskiego, uniemożliwienia życia społecznego, kulturalnego, religijnego i t. d. Bardzo ciekawa jest część trzecia, mająca charakter odrębny. Mamy tu konfrontację położenia Narodu Polskiego na ziemiach zachodnich pod okupacją niemiecką z prawem międzynarodynarodowym i narodowo-socjalistyczną doktryną prawa międzynarodynarodowego. Całość zamyka bogaty wykaz źródeł.

Ciekawa i pożyteczna praca K. M. Pospieszalskiego jest nową, wartościową pozycją wydawniczą Instytutu Zachodniego.

A. Ol.

*) Karol Marian Pospieszalski: Polska pod niemieckim prawem 1939—1945 (Ziemia Zachodnie). Wydawnictwo Instytutu Zachodniego. Poznań 1946. Str. 279.



LAJKONIK O BOSIE

Kto łaciny złapał tyk,
Wie, że BOS to znaczy byk.

Byk, więc byczyć się, więc — leń.
Leń, — to nierób na codzień.

Cheć byka, torrerów wzorem,
Drażnić czerwonym kolorem,

Lecz w byku stoicka dusza,
Wierzgnie zadem i nie rusza.

Redaguje: Kolegium redakcyjne, Redaktor naczelny: Witold Bienkowski. Kierownik Oddziału Krakowskiego: Wojciech Kętrzyński. Wydawca: Kolegium redakcyjne.

Adres redakcji i administracji: Marszałkowska 81 m. 17. Kont. P. K. O. — Nr 1—727. Redaktor przyjmuje codziennie od godziny 11 do 12.

Adres Oddziału Krakowskiego: Kurkowa 5 m. 4. Redaktor przyjmuje w poniedziałki, środy i piątki od godziny 13 do 14.

Prenumerata miesięczna 30 złotych. Kwartalna 85 złotych.

Złożono w Zakł. Graf. „Dzwignia“ Widok 24 B—09608

Odbito w Drukarni „Czytelnik“ Nr. 2, Marszałkowska 3-5